POD OPIEKĄ ŚW. JÓZEFA



1952 – Nr V

Na okładce:
MARYJA NA MODLITWIE
Malował: Sassoferrato

DO P. T. PRENUMERATORÓW: „POD OPIEKĄ ŚW. JÓZEFA"

W związku z zarządzeniem Ministerstwa Poczt i Telegrafów z dnia 29 maja b. r., przywracającym pierwotną formę prenumeraty, podajemy do wiadomości, iż pojedynczy Prenumeratorzy zgłaszają i opłacają prenumeratę już nie u listonoszy lecz w Państwowym Przedsiębiorstwie Kolportażu „R U C H" Kraków, ul. Worcella 6 (dawniej Pawia 6), kierując wpłaty:

PAŃSTWOWE PRZEDSIĘBIORSTWO KOLPORTAŻU „RUCH", „POD OPIEKĄ ŚW. JÓZEFA", P. K. O. KRAKÓW Nr IV-1639

Cena pojedynczego numeru wynosi 1,50 zł, prenumerata kwartalna 4,50 zł, półroczna 9 zł, roczna 18 zł. Wpłaty należy uiszczać w terminie do dnia 10 miesiąca poprzedzającego ukazanie się odnośnego numeru, np. prenumeratę na IV kwartał, tj. październik i nast. należy przesłać już przed 10 września. Przez nieterminowe wpłacanie P. T. Prenumeratorzy narażają się na przerwę w dostawie pisma.

Kompletujący swe roczniki „Pod Opieką św. Józefa" kierują swe zamówienia na numery wsteczne (archiwalne) do *Administracji* „Pod Opieką św. Józefa", KRAKÓW, UL. RAKOWICKA 18, kierując wpłaty na Konto: P. K. O. Kraków IV-842/113.

ADMINISTRACJA

POD OPIEKĄ ŚW. JÓZEFA



Rok VII 1952 Nr 5

O człowieku skupionym w Bogu

Niezbędnym środkiem wprawienia duszy w modlitewną akcję jest skupienie. Skupienie jest osłoną i bramą modlitwy.

Św. Józef jest typem człowieka głębokiego skupienia; to ideał dusz zatopionych w Bogu. Człowiek skupiony to nie jest zatem to samo co milczek czy odludek. Ani skoncentrowanie się we własnej duszy nie jest to samo co zasklepienie się w sobie samym. Są to dwie rzeczy całkiem różne. Jedna jest zanurzeniem się w pełni Bożego bytu, druga jest zawieszeniem w próżni miłości własnej. Umysł świętego Józefa choć nie był kształcony w naturalnych umiejętnościach pogrążał się z niesłychaną łatwością w Bożych prawdach. Światła tajemnic Bożych zalewały jego prosty i szczery umysł, który nie mógł znaleźć sposobu na wyrażenie tak wzniosłych prawd jak: dziewicze poczęcie się Boskiego Syna w łonie Maryi, niewymowne połączenie w jednej osobie Bóstwa i człowieczeństwa Chrystusa, albo na przykład takie zagadki, jak niezrozumiałe postępowanie Boga, który rodzi się w stajence, objawia się nie książętom ale prostaczkom i choć jest wszechmocny ucieka w kraj daleki przed złością człowieka.

To wszystko pobudzało świętego Józefa do intensywnego myślenia. Umysł św. Józefa musiał się trudzić, silić i nałamywać, by temu wszystkiemu dać przyzwolenie pokornej wiary, jakiej Bóg od niego wymagał. Wiara św. Józefa nie była łatwa. Lecz w chwilach wielkich zmagań nie cofał się, nie czynił ani jednego kroku bez namysłu, lecz „rozważał w sercu swoim“, radził się Boga, prosił o oświecenie, dziękował nawet za to, iż nie rozumiał i wielbił Boga we wszystkim. Umysł św. Józefa to umysł najbardziej ze wszystkich umysłów zaabsorbowany prawdą Bożą, która wymaga wielkiej pracy ducha. Oto źródło skupienia świętego Józefa.

Duch skupienia płynie nadto z świadomości wyłącznego posiadania tajemnicy. Powiernikiem tajemnic niezrozumiałych dla szerokiego ogółu był św. Józef. Były one taką własnością jego duszy, iż czuł to dobrze, że niepodobna jest je wyrazić, i mało kto jest w stanie je pojąć. Mógł o nich rozmawiać jedynie z Jezusem i Maryją, ale życie pracy nie dawało im zbyt wiele czasu na takie miłe rozmowy o Bogu. Św. Józef żył zawsze w bliskości Boga. Nie myślmy jednak, jakoby był zaszczycany radosnymi zjawiskami nadprzyrodzonymi, lub pociechami duchowymi; żył jak my w szkole czystej wiary, do której głębi wdzierał się przez skupienie.

Podobnież w całym naszym życiu chrześcijańskim duch zdrowego skupienia wypływa ze świadomości posiadanego Boga. Chrześcijanin żyjący intensywnie wiarą uprzytamnia sobie często te najbliższe rzeczywistości świata nadprzyrodzonego: Wszędzie jest pełno Boga, Bóg jest także we mnie. Ma on zatem o czym rozmawiać, tylko że jego temat nie należy do tematów płytkich. Potrafi on roztrząsać rozmaite problemy, tylko nie ma z kim, gdyż mało jest takich co by się nimi interesowali. Pozostaje jedynie skupienie, które wypełnione jest rozmową z Bogiem.

Prawdziwe skupienie jest osłoną wytężonej pracy duszy ludzkiej. Skupienie jest pancerzem chroniącym nas przed rozpraszaniem wewnętrznych energii.

Praktyka skupienia u św. Józefa wyrosła jeszcze z jednego źródła, mianowicie z woli skoncentrowanej w Bogu. Miał on jedno pragnienie ponad wszystko: służyć Jezusowi i Maryi. Wiedział dobrze, że tylko Jezus, tylko On sam ostatecznie był sensem jego powołania życiowego. „Soli Deo" — Bogu samemu żyć, oto dewiza świętych. Duch tej dewizy ożywiał również św. Józefa. Wszystkie uczucia jego skupiały się na Jezusie, którego kochał jak samego Boga. Odmawiając psalm 72 mógł z wielką pociechą do siebie zastosować słowa: „Cóż ja mam w niebie albo czegom chciał na ziemi prócz Ciebie? Ustało ciało moje i serce moje, Boże serca mojego i części moja, Boże na wieki!" (Psalm 72, 25, 26).

Św. Józef był człowiekiem skupionym, lecz nie zamkniętym. Dusza św. Józefa choć skupiona była jednak zawsze otwarta na życie i świat. Św. Józef okazuje się jednostką, co zna życie i co ma opanowaną praktykę codziennego życia. Mimo, że jest mężem modlitwy, jest mężem swego stanu i zawodu. Umie się modlić, ale niemniej dobrze zna tajemnice swego rzemiosła.

Duch chrześcijaskiego skupienia nie powinien wykluczać spraw i obowiązków tej ziemi, jej prac, radości, prób i osiągnięć. W praktyce jak widzimy duch skupienia, znamię duchów wielkich, nie ścieśnia zakresu normalnego życia ludzkiego, ale je porządkuje, łączy i nadaje kierunek Boży oraz wartość wieczną. O. Otto, k. b.

Miesiąc Królowej nieba i ziemi

Już niejednokrotnie stawiano pytanie: który miesiąc jest najpiękniejszy? Jedni mówili, że styczeń — byli to narciarze, drudzy mówili — listopad — byli to romantycy, którzy twierdzili, że



deszcz i mgły listopadowe stanowią największe piękno. Inni zaś zachwycali się barwami złotej polskiej jesieni i wrzesień wysuwali na pierwsze miejsce. Jednak największą ilość głosów zdobył sobie maj. Maj — miesiąc kwiatów, zieleni, błękitnego nieba, wonnego

powietrza i świergotu ptaków. Tak, istotnie maj jest najpiękniejszym miesiącem, musieli to przyznać i narciarze i romantycy i wszyscy, którzy bezstronnie zaczęli doszukiwać się piękna, prawdziwego piękna w naturze. I właśnie ten miesiąc, miesiąc czaru, miesiąc szczęścia, miesiąc miłości, złożyli ludzie do stóp Wielkiej Królowej, Królowej Nieba i Ziemi.

W miesiącu maju wszędzie rozbrzmiewa piękna pieśń, jest to wielka pieśń miłości do Ukochanej Matki Niebieskiej. Wieczorem, gdy cała rozbudzona natura zaczyna układać się do snu, wielkie katedry i kościoły miejskie, czy maleńkie drewniane kapliczki góralskie wypełniają się wiernymi, którzy wśród wiosennych kwiatów, razem z ich zapachem ślą swoje myśli, prośby, uczucia, ofiary, dziękczynienia Matce Boga — Maryi. A Maryja na wszystkich jednakowo spogląda. Jej wargi rozchylają się uśmiechem do nas na widok naszych radości i zwycięstw, na widok naszych wzlotów do góry, i błogosławi wszystkim, którzy zwrócą się do Niej z ufnością, którzy ofiarują Jej swoją miłość i którzy oddają się z całym poświęceniem w Jej święte ręce. Bo czyż opuściła kiedy Królowa kwiatów ufające Jej serce? Nie! Napewno nie!

Jest właśnie maj, miesiąc Królowej Nieba i ziemi.

Wierzymy, że Twe spojrzenie pieszczące tu na ziemi uniżone człowieczeństwo Chrystusa, przesunie się po nas i że pomoże powstać z wad naszych, że oczyści nasze zmysły i dopomoże nam rozpoznać w sobie piękno, piękno którym obdarzył nas Bóg Ojciec.

Irena Cieraszewska



INTROIT — WEJŚCIE

1.

Po modlitwach u stopni ołtarza, kapłan modląc się, idzie do środka ołtarza i, po ucałowaniu go, idzie zaraz na prawą stronę t. zw. stronę Epistoły. Tam odczytuje modlitwy z Mszału, które się nazywają po łacinie „Introit“, a po polsku „Wejście“. Dawniej to „Wejście“ miało nieco inne znaczenie; było to wejście do ołtarza, albo raczej przejście z zakrystii do ołtarza. Teraz można powiedzieć, że jest to wejście w Mszę Świętą. Jest ono bardzo krótkie. Kilka zdań. Introit — Wejście przygotowuje kapłana i wiernych bezpośrednio do Mszy św. przez stworzenie w nas odpowiedniej atmosfery.

2.

Wiele nieudałych postanowień i prac pochodzi stąd, że były one obce nam i innym. Nie było odpowiedniej atmosfery. Opuściliśmy Introit, który, jak mówiłem, przygotowuje nas bezpośrednio do Mszy św. Dlatego, gdy mamy wykonać jakieś większe postanowienie, musimy przez pewien czas wracać do niego myślą, pragnieniem i sercem, aby stworzyć świętą modlitewną atmosferę dla naszego postanowienia. Tej właśnie pobożnej atmosfery domaga się od nas Introit mszalny.

Ks. Kazimierz Dąbrowski, T. J.

Nadesłano do Redakcji:

Ks. Dr JAN CZUJ: **Żywot św. Augustyna**, wyd. II, str. 228, cena zł 18. — Warszawa, 1952. Wydawnictwo SS Loretanek - Benedyktynek.

BLAISE PASCAL: **Myśli**, przełożył Tadeusz Żeleński (Boy), — wstęp napisała Stefania Skwarczyńska, str. 336, cena zł 32. Warszawa, PAX, 1952.

ŚW. HIERONIM: **Listy**, Tom I, przełożył Ks. Dr Jan Czuj. Str. 430, cena zł 34. Warszawa, PAX, 1952.

WŁODZIMIERZ WNUK: **Wiosna nad Motławą** (reportaż z odbudowy Gdańska). Str. 192, cena zł 20. Warszawa, PAX, 1952.

JANINA KOLENDO: **Szukając drogi**, (powieść), str. 232, cena zł 20. Warszawa, PAX, 1952.

ALEKSANDER ROGALSKI: **Katolicyzm w Niemczech po II wojnie światowej.** Str. 270, cena zł 20. Warszawa, PAX, 1952.

W KOŚCIELE

„A zbliżała się Pascha żydowska, Jezus przyszedł tedy do Jerozolimy. I zastał w świątyni sprzedających woły, owce i gołębie i siedzących tych, co zmieniali pieniądze. A uczyniwszy jakoby bicz z powrozów wypędził wszystkich ze świątyni, owce też i woły, pieniądze zmieniających je rozsypał, a stoły powywracał. Do sprzedających zaś gołębie rzekł: Wynieście się stąd i nie czyńcie z domu ojca mego targowiska. I przypomnieli sobie uczniowie jego, że jest napisane: żarliwość o dom twój pożera mnie" (Jan II, 13—17).

Pascha ściągała do Jerozolimy tłumy. Przybysze mieścili się przeważnie pod namiotami wzdłuż murów miejskich. Trąby co rano i wieczór obwieszczały składanie ofiar w świątyni. Świątynia ta wspaniale odbudowana przez Heroda nie była jeszcze ukończona, tłumy robotników i kapłanów pracowały nad jej upiększeniem, skończono ją kilka lat przed zburzeniem przez wojska Tytusa. Najruchliwszym był tam dziedziniec pogan, tu było miejsce przechadzek pod portykami, tu załatwiano sprawy bankowe, sprzedawano kadzidło, mirę, oliwę, wino na ofiarę, również bydło i ptactwo. Zamieniano obce waluty, gdyż wolno było płacić tylko monetą kościelną, naturalnie czynili to z zyskiem lichwiarze. Dochód ze sprzedaży szedł w pierwszym rzędzie dla kapłanów. Przy kupnie nie obywało się bez krzyków, do czego dołączał się jeszcze ryk bydła i przekleństwa. Wierni pragnący udać się do świątyni na modlitwę z trudem mogli przedostać się przez to targowisko nie licujące z powagą świątyni. Nic więc dziwnego, że gdy Chrystus to wszystko zobaczył, uniesiony żarliwością o dom Ojca, powywracał stoliki lichwiarzy, przepędził sprzedających i faktorów. Uczynił to jako pan świątyni. Istniała zapowiedź, że kiedyś te święte mury obejmie w rządy oczekiwany Mesjasz.

Scena przytoczona, o której czytamy we wtorek i poniedziałek I-go tygodnia W. Postu ma uświadomić, czym jest kościół jako dom Boży i z jakim uszanowaniem należy się w nim zachować. „Straszne jest to miejsce, tutaj jest dom Boga i brama niebios i nazwana będzie przybytkiem Bożym". (Introit Mszy św. na poświęcenie kościoła).

We wszystkich religiach spotykamy świątynie na cześć bogów, domy modlitwy, do dziś dnia podziwiamy szczątki wspaniałych świątyń greckich, czy Panteon rzymski. W Księdze Wyjścia Mojżesza mamy wskazówki, jak miał być urządzony święty namiot, którego domagał się sam Bóg: „I uczynią mi świątynię i będę mieszkał w pośród nich" (Exod. XXV, 8).

A do Salomona: „I będę mieszkał w pośrodku synów Izraela i nie opuszczę ludu mego“ (III Król. VI, 13). A gdy Salomon ukończył świątynię, gdy do miejsca Świętych Święte wniesiono Arkę Przymierza, długo się modlił do Boga wobec zebranego ludu, błagając: „Panie, Boże mój, usłysz chwałę i modlitwę, którą sługa Twój modli się dziś przed Tobą, aby były oczy Twe otworzone nad tym domem, we dnie i w nocy, nad domem, o któremeś mówił: „Będzie tam Imię moje, abyś wysłuchał modlitwy, którą się modli do Ciebie sługa Twój na tym miejscu...“ O cokolwiek prosić będą na tym miejscu, a wysłuchasz w miejscu mieszkania twego w niebie, a gdy wysłuchasz miłościw będziesz“. — (III. Król. 8).

I złożył król pierwsze ofiary i odtąd rano i wieczór dym unoszący się ku górze z ołtarzy oznajmiał ludowi ustawiczne ofiary i modlitwy, zanoszone w przybytku Pańskim.

Jeżeli taką czcią otaczano świątynię Jerozolimską, to z jakimże pietyzmem należy nam wstępować do naszych kościołów, w których mieszka Zbawiciel pod postaciami Najświętszymi Chleba i Wina. A jednak, jak często chciałoby się, by się zjawił Zbawiciel z powrozami w ręku i pędził tych, co myślą i sercem dalecy są od Ofiary i zachowaniem swoim nie budują, ale gorszą innych. Wcześnie należy wdrażać do należytego zachowania się w kościele, bo ani spoufalenie, ani cynizm, z jakim ktoś czyta książki w czasie nabożeństwa, ani ploteczki i śmiechy w czasie ślubów nie licują z powagą miejsca.

Dlatego do kościoła prowadzą schody i odrzwia, by się przygotować, zebrać myśli, uświadomić sobie, po co idę? Idąc po schodach dusza nasza powinna odrywać się od spraw ziemskich i wchodzić w coraz to wyższe rejony. Za sobą trzeba zostawić troski, zabawy, a tylko zająć się Bogiem, w górę podnosić serca i oczy.

Do kościoła wzywają dzwony, napełniają swym dźwiękiem całą okolicę, kołacą do serc, budzą z odrętwienia. I dusza odpowiada na to wezwanie nieskończoności i spieszy za głosem dzwonu do świątyni, lub na miejscu, gdzie usłyszy wezwanie, odmówi Anioł Pański. Radośnie i majestatycznie brzmią dzwony w czasie procesji, uroczyście gdy wzywają na sumę, smutno i poważnie, gdy towarzyszą na miejsce wiecznego spoczynku. A w kościele małe dzwonki sygnalizują najważniejsze części Mszy św., budzą z roztargnienia, każą się łączyć w hymnie uwielbienia.

W kruchcie kościelnej spotykamy kropielniczkę z wodą święconą. Woda jest żywiołem, który Pan Jezus uczynił symbolem łaski, ona w Chrzcie świętym wprowadza nas w stan łaski poświęcającej. Modlitwa kapłana oczyszcza wodę od czynników wrogich, a pokropienie nią sprowadza łaskę skupienia i przebaczenia win powszednich.

W kościele wszystko nam mówi o Bogu i ułatwia modlitwę, trzeba tylko rozumieć mowę symboli. Najważniejszym przedmiotem w kościele jest ołtarz i na niego przede wszystkim trzeba zwrócić uwagę. On jest centrum kościoła, a nie dodatkową ozdobą. W ołtarzu zaś najważniejszą jest mensa z relikwiami męczenników. Męczennik to świadek Chrystusa, który łącznie z Głową Kościoła dał świadectwo miłości Boga. Relikwie w mensie podkreślają łączność i przypominają, że dawniej na grobach męczenników odprawiano Najśw. Ofiarę. Ołtarz jest symbolem Chrystusa, był jak on konsekrowany i w wielki Czwartek jest dlatego obnażany. W starych bazylikach był tylko jeden ołtarz, dopiero IX wiek wprowadził ołtarze boczne.

Ołtarz główny jest zwykle wzniesiony ponad otaczającą go przestrzeń, jakby na znak wyodrębnienia swej wielkości i świętości. Na ołtarzu składa się Najśw. Ofiarę i dlatego widnieje na nim krzyż, a obok świece strzelają prosto ku górze. Paląc się substancję swą przeistaczają w światło i żar, spalają się na chwałę Bożą. Wierni widzą w nich swój obraz i oni tak powinni spalać się w ofierze miłości. I dlatego Kościół wkłada świece w rękę nowoochrzczonego, przy I. Komunii św., przy święceniach kapłańskich, przy ślubach zakonnych i w ręce konającego.

Obrazów w dawnych kościołach nie znano w nastawie ołtarza, jest to wytwór późniejszej pobożności, która po części odwracała uwagę od istoty kultu. Obrazy mogą zdobić ściany świątyni i być żywą biblią, czy hagiografią.

Ołtarz nakryty jest białym płótnem symbolizującym czystość dusz, które się do ołtarza zbliżają. To płótno było kiedyś szare i szorstkie i dopiero praca ludzka uczyniła go pięknym i białym. I czystość duszy naszej wymaga wysiłków i pracy.

Na ołtarzu kapłan składa ofiarę, potrzebuje do tego kielicha, wina i chleba na patenie.

I w naszym sercu ma być ołtarz, na którym wpierw złożyć musimy ofiary uwielbienia, dziękczynienia, przebłagania, nim przyniesiemy je do kościoła.

Wyjątkową czcią ma być otoczony ołtarz, na którym przechowuje się Najśw. Sakrament. Lampka to obraz nieustającej adoracji, jaka z naszego serca wznosi się do Boga, konopeum mówi o święcie dnia. Przed tym ołtarzem zawsze najpierw trzeba przyklęknąć, nim się zacznie szukać obrazów świętych.

W kościele obowiązuje milczenie i skupienie, co sobie należy przed wejściem uświadomić i prosić Anioła Stróża o pomoc. Do skupienia w kościele pomaga cała architektura. Inne uczucia wywoła wspaniały tum, np. nasz Mariacki kościół, a inne skromny wiejski kościółek. Nieogarniona przestrzeń pierwszego, niebotyczne sklepienia, masyw ka-

mienia mówi o wielkości Pana i Króla. Drugi swym ubóstwem powie o łaskawości tego Pana, który zniża się do nas, by z nami przebywać. Witraże barwne, figury czy obrazy przykuwają naszą uwagę do przedmiotu kultu.

Inaczej nastrojeni jesteśmy, gdy sami w ciszy adorujemy Najśw. Sakrament, wylewając całą swą duszę, a inaczej gdy uczestniczymy w uroczystym nabożeństwie. Działa wtedy na nas i gra na organach i śpiewy i ruchy i dym kadzidła: „I nadszedł inny Anioł i stanął przed ołtarzem, mając kadzielnicę złotą. A dano mu wielkie kadzidła, aby z modlitw wszystkich uczynił ofiarę na ołtarzu złotym, który jest przed tronem Bożym. A dym kadzidła, pochodzący z modlitw świętych, wstąpił z ręki Anioła przed Boga" (Obj. VIII, 3—4). Ten wyjątek z natchnionej Księgi tłumaczy symbol kadzidła. Okadzanie ołtarza czy monstrancji wyobraża miłość bezinteresowną, uwielbienie. Ziarenka kadzidła spalają się w ogniu, wonny dym unosi się ku górze, jak modlitwa człowieka, który widzi tylko Boga.

I tak wszystko w kościele nastraja nas do modlitwy ale do tego trzeba wychować.

Kościoły nasze są obrazem Kościoła powszechnego jednoczącego wszystkich wiernych u Stołu Eucharystycznego, u stóp kazalnicy, z której rozbrzmiewa Słowo Boże. Są nadto obrazem wieczystego Jeruzalem, jak o tem mówi Lekcja ze Mszy świętej na poświęcenie Kościoła: „Widziałem święte miasto Jeruzalem nowe, zstępujące z nieba od Boga, zgotowane jako oblubienicę ubraną mężowi swemu. I słyszałem głos wielki z stolicy mówiący: Oto przybytek Boży z ludźmi i będzie mieszkał z nimi. A oni będą ludem Jego, a Sam Bóg z nimi będzie Bogiem ich. — I otrze Bóg wszelką łzę z oczu ich, a śmierci dalej nie będzie" (Obj. XXI 2—5).

Przy poświęceniu kościoła Biskup modli się: „Spraw, aby każdy, kto do tej świątyni zajdzie i o łaski Cię prosi, wyjednaniem wszystkich się radował". Modlitwę tę powtarza się w rocznicę poświęcenia.

„O jak są miłe przybytki Twoje Panie Zastępów, żąda i ustaje dusza moja do pałaców Pańskich" (Ps. 83, 2—3).

S. Barbara Żulińska

SŁUŻEBNICA PAŃSKA

Niewiele słów Najśw. Maryi Panny przekazuje nam Ewangelia. Tym więcej zastanawiać może fakt, iż wśród nielicznych Jej słów zapisanych przez Ewangelistów Maryja dwukrotnie nazywa siebie „Służebnicą Pańską": przy Zwiastowaniu oraz w hymnie Magnificat. Głęboka jest treść tych słów i cenna w nich dla nas wskazówka.

Służyć Bogu — to znaczy uznać nad sobą Jego władzę i tej władzy dobrowolnie się poddać. Doskonałą służbę Bogu widzimy u Maryi: Ona — całkowicie Bogu oddana — służy tylko Jemu, gdy ślubuje dziewictwo, gdy zgadza się zostać Matką Zbawiciela; służy Bogu i w Betlejem i na Kalwarii i pozostając dłuższy czas na ziemi po odejściu Syna.

Maryja od pierwszej chwili swego istnienia obdarzona została przez Boga pełnią Łaski; Łaska Boża nie krępuje jednak wolnej woli człowieka. Maryja miała całkowitą swobodę w korzystaniu z Łaski, we współpracy z nią; mogła wypowiedzieć „Fiat" lub nie. Współpraca Maryi z Łaską była doskonała. Ona uczyniła wszystko, co ze swej strony człowiek może uczynić dla Boga: wolną wolę oddała Bogu zupełnie wraz z całą swą istotą. „Niech mi się stanie według słowa twego" (Łuk. 1, 38) — to streszczenie życia Służebnicy Pańskiej.

Gdy Maryja mówi, iż Bóg „wejrzał na uniżenie służebnicy swojej" (Łuk., 1, 48), podziwiamy Jej pokorę. Pokora — to prawda o sobie, poznanie i uznanie swojej istotnej wartości. W stworzeniu tyle jest wartości ile w nim odblasku doskonałości Bożej. Tytuł „sługa Boży" jest pokorny — wyraża tę prawdę, że człowiek sam z siebie nic nie ma; lecz równocześnie jest tytułem zaszczytnym, gdyż oznacza, że Pan powierzył człowiekowi pewne swoje dobra i — jeśli człowiek spełnia zlecone sobie zadanie — staje się tych bogactw uczestnikiem. Tym wyższa godność sługi, im większe dobra zostały mu przez Pana powierzone oraz im większa jest jego wierność. — Żadne stworzenie na niebie i na ziemi nie otrzymało tak wiele, jak Maryja i nikt nie wykonał zadania tak doskonale, jak Ona. Jej wierność była na miarę niezgłębionego ogromu otrzymanych łask.

Toteż Bóg wywyższył wierną Służebnicę Swoją ponad aniołów i ludzi, uczynił Ją Królową całego stworzenia. Wysławiamy niezmierne łaski i przywileje udzielone Maryi w Litanii Loretańskiej: Matko Boża, Bramo niebios, Królowo, Niepokalanie Poczęta, z duszą i ciałem wzięta do nieba... Święci przez wszystkie wieki głosili wielkość i chwałę Maryi. „Zaprawdę, należy za Duchem św. powtórzyć — pisze św. Ludwik Grignon de Montfort[1]) — „Wszystka chwała tej córy Królewskiej od wewnątrz" (Ps. 44, 14). Wydaje się, jakoby wszystka chwała zewnętrzna, którą oddają Jej współzawodnicząc ze sobą niebiosa i ziemia, była niczym w po-



równaniu z tą, którą Stwórca Ją wewnętrznie przyozdabia, a której nie znają marne stworzenia, niezdolne przeniknąć „tajemnicy tajemnic Króla“.

Maryja wie, iż „uczynił Jej wielkie rzeczy, który możny jest“, wie, że „błogosławioną zwać Ją będą wszystkie narody“ (Łuk., 1, 48, 49); mówiąc o sobie „Służebnica Pańska“ podkreśla Ona tę postawę człowieka, od której Bóg uzależnia udzielenie swych łask. Maryja nie byłaby tym, kim jest, gdyby nie była gotową zawsze i na wszystko odpowiedzieć Bogu „Niech mi się stanie według słowa Twego“.

To samo podkreśla Chrystus. Na okrzyk niewiasty z tłumu: „Błogosławione łono, które cię nosiło i piersi, któreś ssał“. — Jezus odpowiedział, że „ci są błogosławieni, którzy słuchają słowa Bożego i strzegą go“ (Łuk. 11, 27—28). Innym znów razem, gdy oznajmiono Mu, że Matka Jego i bracia (tj. krewni) chcą się z Nim widzieć, Jezus „wyciągnąwszy rękę ku uczniom swoim powiedział: Oto matka moja i bracia moi. Ktobykolwiek bowiem czynił wolę Ojca mego, który jest w niebiesiech, ten moim bratem i siostrą i matką jest“ (Mat. 12 46—50). W słowach tych Jezus nie umniejszając w niczym wysokiej godności swej Matki wskazuje na Jej współdziałanie, na wkład Jej woli w dzieło Zbawienia: Maryja słuchała słowa Bożego, strzegła go — czyniła Wolę Bożą, dlatego jest błogosławiona. W wyżej przytoczonych słowach Chrystus szczególnie zwraca uwagę słuchaczy na to, że każdy może mieć pewien udział w chwale Jego Matki — jeśli wiernie służy Bogu.

I my otrzymaliśmy od Boga dary, „według użyczonej nam łaski. różne“ (Rzym. 12, 6) i każdy z nas obowiązany jest do współpracy z pomnażaniem dobra powierzonego mu przez Boga. Jezus zna naszą słabość będącą skutkiem grzechu pierworodnego, a spotęgowaną grzechami uczynkowymi. Daje nam przeto Maryję za Matkę. W Ewangelii znajdujemy jeszcze inne — jakże dla nas doniosłe i pocieszające — słowa Jezusa o Jego Matce: konając na krzyżu „Jezus ujrzał matkę i ucznia, którego miłował, stojącego przy niej, rzekł do matki swojej: Niewiasto, oto syn twój! Potem rzekł uczniowi: Oto matka twoja!“ (Jan 19, 26—27).

Służba Bogu jest służbą miłości. Oddajemy się Bogu jako najlepszemu Ojcu, Który pragnie naszego dobra i szczęścia. Miłość najwspanialej rozkwita pod czułym wejrzeniem Matki. Maryja „matką pięknej miłości i bogobojności, wiedzy i świętej nadziei“. (Ekl. 24). Z postanowienia Bożego przez Maryję otrzymujemy życie nadprzyrodzone, Ona — najtroskliwsza z matek — wychowuje nas na dzieci Boże, uczy postępować „w sposób godny powołania, do którego wezwani jesteśmy“ (Ef. 4, 1).

---

[1]) Traktat o prawdziwym nabożeństwie dla Najśw. Maryi Panny.

Jakie moje powołanie?

W wspomnieniach o naszym artyście malarzu, Jacku Malczewskim, dochowało się i to niepozorne, a znamienne.

Malczewski malował swój nowy obraz „Trzy pokolenia", zwany także „Polonią". Miał już obraz prawie na ukończeniu, gdy w jego pracowni niespodziewanie zjawili się goście z rodziny: zacna matrona ze swoją wnuczką. Malczewski uradował się niezmiernie z tych odwiedzin. A kiedy w odpowiednim miejscu sadowił widzów, by dobrze mogli oglądnąć jego malujący się obraz, powiedział ze wzruszeniem: „Moja pani, zacna, droga, taki j e s t e m s z c z ę ś l i w y!"[1]).

Powszechnie znaną jest rzeczą i psychologicznie uzasadnioną, że nie tylko artysta, ale i każdy kto czuje się w swoim zawodzie, kto wypracowuje swoje myśli, kto swą pracę wykonuje rzetelnie i ożywia ją jakąś wyższą ideą — wówczas artysta czy rzemieślnik, lekarz czy wychowawca mogą sobie w duchu powiedzieć: „Jaki ja szczęśliwy!" Sumienna praca stała się dla nich źródłem godziwych radości i zdrowego samopoczucia.

„Jestem już niestety zanadto artystą — pisał o sobie wspomniany Malczewski — najmilszy wtedy, kiedy pracuję i wypracowuję swoje myśli... Wtedy mnie do rany przyłożyć. Ale inaczej, jestem jak liść gnany wichrem, podrywam się i lecę, szukając spokoju, samotności i pracowni[2])".

Stąd doniosłość zagadnienia dla młodych, wybierających się w drogę do zapasów życia, by wybrali zawód względnie stan, w którym będą się czuli „swojo", na miejscu, zadowoleni, a dla społeczeństwa pożytecznymi i pełnowartościowymi. Odpowiednie przemyślenie swoich możliwości, zasięgnięcie światłej rady przed postanowieniem decydującego kroku, ustrzeże nas od niepowodzeń, niepotrzebnych rozczarowań, a nawet może zabezpieczy przed życiową tragedią.

Kiedy mowa o wyborze zawodu czy stanu jasne światło, dla wyrobienia w sobie odpowiedniego nastawienia i poglądu, rzucają proste słowa pierwszych stron pamiętników świętej z Lisieux. Święta przemawia w nich jako teolog, spoglądając okiem Bożym z szacunkiem i uznaniem na pozycję społeczną i rolę każdego człowieka w planie Opatrzności — i jak socjolog, któremu nie tajne są zasady społecznej solidarności oraz wzajemnej zależności członków danego społeczeństwa czy nawet ludzkości. Oto święta, cytując słowa Ewangelii: „Jezus, wszedłszy na górę, wezwał do siebie, których sam chciał", — powiada: „to tajemnica mego powołania, mego całego życia.. I następnie, po mistrzowsku, tłumaczy": „Pan Jezus raczył mię pouczyć o tej tajemnicy. Pokazał mi księgę natury, i zrozumiałam, że wszystkie kwiaty przez Niego stworzone są piękne: że wspaniałość róży i białość lilii nie ujmują woni małemu fiołkowi lub przedziwnej prostoty stokrótce.

Zrozumiałam, że gdyby wszystkie kwiatki chciały być różą, natura straciłaby swą ozdobę wiosenną, pola nie byłyby pokryte kwiatami.

To samo dzieje się w dziedzinie dusz, w tym żywym ogrodzie Pańskim. A my możemy dodać: to samo dzieje się i w dziedzinie powołań, zawodów. Podobało się Bogu stworzyć wielkich Świętych,

---

Dokończenie ze str. 146

Miłość Boża płonąca w Niepokalanym Sercu Maryi zapala serca nasze, a w jej promieniach przedziwnie pociągającą staje się droga wiernej Służebnicy Pańskiej. Im ufniej i zupełniej naszej matce się oddajemy, tym bardziej przekonujemy się, że jarzmo służby z miłości „słodkie jest, a brzemię lekkie" (Mat. 11, 30).

I. S.

których można porównać z lilią i różą; stworzył też mniejszych, a tym ma wystarczać to, że jako stokrótki lub skromne fiołki przeznaczeni są na rozweselenie Jego Boskiego spojrzenia.

I Święta ze swego porównania wyciąga ów znamienny wniosek: „Im szczęśliwsze czują się kwiaty, że pełnią wolę Pana, tym są doskonalsze“[3]. Czyli, innymi słowy, Święta chciała powiedzieć to, co Matka Ledóchowska będzie często powtarzała: „Naszym zadaniem, naszym apostolstwem jest nauczyć ludzi pokochać pracę, przypomnieć im jej cenę, dostojność, pokazać własnym przykładem, jak można i należy pracować dla Boga. Praca to przecież pierwszy obowiązek człowieka. Praca to wola Boża, dalszy ciąg modlitwy. Każda praca jest wzniosła, choćby w oczach ludzkich najniższa. Nie ma pracy, która by poniżała, tylko sposób, w jaki pracę wykonujemy, może ją w oczach Bożych poniżyć i shańbić“[4].

Analogicznie więc do słów Apostoła: „...a jednych ustanowił Bóg... apostołami... nauczycielami, innym dał moc lub dary uzdrawiania, wspomagania, rządzenia, różnych języków“[5], możemy powiedzieć innych Opatrzność wyposażyła i uzdolniła na wychowawców, artystów czy też naukowców, szermierzów życia kultury, a innych na inżynierów, rzemieślników, techników z przeróżnymi odcieniami pokrewnych zawodów, a jeszcze innych na pocieszycieli niosących ulgę, pomoc cierpiącym na duszy i na ciele.

I właśnie jednym z doniosłych problemów życia i osobistego szczęścia jest rozpoznać względem siebie wolę Opatrzności i, z ochoczą gotowością pójść, po myśli Bożej, drogą wskazanego powołania do danego stanu i zawodu.

A więc w świetle wyżej wyrażonego poglądu na wybór zawodu, jest rzeczą jasną i zrozumiałą, że w interesie naszego osobistego i społecznego dobra obowiązkiem naszym wziąć pod rozwagę następujące względy i okoliczności:

1-o). Szkodę niepowetowaną wyrządza sobie, kto przy wyborze zawodu czy stanu powoduje się j e d y n i e chęcią wydobycia z zawodu jak największych korzyści materialnych.

Całkiem słusznie, zawód winien nam zapewnić chleb codzienny, utrzymanie, godziwą rozrywkę. Ale równocześnie, w światopoglądzie naszym, ma się stać czymś więcej, niż zwykłym kupczeniem: winien zaspokoić najgłębsze pragnienia naszej duszy, związać doczesność z wiecznością i stać się drogą wstępowania ku Najwyższemu Dobru i Najdoskonalszemu Pięknu. „Gdyż w dwóch instynktach wyrażają się główne motory naszego czynu: w instynkcie brania i w potężnym, u najlepszych nie dającym się zaspokoić — instynkcie d a w a n i a. Jest to bodaj największym błędem nas, rodziców, że myśląc o waszym szczęściu, myślimy o braniu i użyciu. N a j p o t ę ż n i e j s z e u c z u c i e s z c z ę ś c i a o d c z u w a m y w ó w c z a s, g d y z s i e b i e c o ś d a j e m y. Dlatego szczęśliwy może być żołnierz, który umiera na posterunku. Szczęśliwy ten, komu jest dane koić cierpienia innych. Szczęśliwy, kto toruje nowe drogi. Szczęśliwy nawet ten, kto kocha nieszczęśliwie. Tylko ten jest nieszczęśliwy, co nie dąży i nie pragnie, nieszczęśliwy jak liść oderwany od swojej gałęzi, gnany bezwolnie przez wiatr jesienny. Warunkiem szczęścia jest: dążyć i tęsknić, myśleć i pracować.

Więcej kochać niż jesteście kochane — niech będzie potrzebą waszego serca, blaskiem i dumą waszej kobiecości. I ostatnie słowa, które słyszycie w szkole, niech będą syntezą naszej miłości do was i waszej tęsknoty za życiem. Niech brzmią one: „Więc tak niech biegnie dzień wasz w wiecznym pragnieniu darowywania“[6].

Zwłaszcza dziewczęta, przy wyborze zawodu, nie mogą zapominać o odrębności swej natury, swych dyspozycji psychicznych, swych przeznaczeń i roli wobec społeczeństwa. Wprawdzie z uznaniem trzeba przyznać, że obecne ustawodawstwo stawia je na równi z mężczyzną, daje im możność startu i zajęcia wszystkich niemal pozycyj w zawodach społecznych — jeśli jednak

wierzyć wypowiedziom — pamiętnikom, dzienniczkom, ankietom — to w zawodach, które mają coś wspólnego z ideałem kobiecości, a więc z ideą poświęcenia się dla drugich, z radościami macierzyństwa serca, (jak zawód lekarki, pielęgniarki, opiekunki, wychowawczyni lub w zawodach rękodzielniczych czy też w zakresie wyrobów artystycznych) znajdują najwięcej zadowolenia, obszerne pole do popisu. Wszak większość podobnych wypowiedzi można by sprowadzić do wspólnego mianownika: „Największym moim szczęściem — jest dobrze czynić nieszczęśliwym".

Z tym wypada się, przy wyborze zawodu liczyć. Bo i trudno było by skonstruować życie społeczne, jako jednogłośny chór, gdzie każdy śpiewa tę samą nutę, podczas gdy pięknem i potęgą życia narodowego jest sharmonizowanie różnych, zależnie od roli wyznaczonej przez Boga, wysiłków jednostek. Każdy, kto zapomni o swym zadaniu, mąci harmonię życia i powoduje lukę niewypełnionego obowiązku.

2-o). Coś pozytywnego, co nas dysponuje i uprawnia do wyboru danego zawodu, to o d p o w i e d n i e u z d o l n i e n i a, złożone w naszej naturze drogą dziedziczenia lub odrębnego talentu.

Niedawno temu składano gratulacje przystojnemu i dzielnemu młodzieńcowi, że tak szybko i „młodo" zdobył z odznaczeniem dyplom szkoły technicznej.

— Mogłem go już mieć w rękach rok temu — odpowiedział z nietajonym uczuciem jakichś przykrych wspomnień —gdyby nie pomyłka moich rodziców... Bo proszę sobie wyobrazić: chcieli ze mnie zrobić księdza! A powód był taki, że umiałem „ministranturę" no i wepchali mnie do ogólnokształcącego i kazali mi „wkuwać" jakichś Cezarów, Owidiuszów na udręczenie moje i moich profesorów...

Życie zatem potwierdza słuszność poglądu, że mają swoje znaczenie, przy wyborze zawodu, wypowiedzi nauczycieli o kierunku naszych uzdolnień. I z nimi, dla dobra sprawy, po największej części, wypada się liczyć.

3-o). Do uzdolnień, w szerszym znaczeniu, należy i stan zdrowia fizycznego i umysłowego. Są zawody, które wymagają wyjątkowo silnych mięśni i dobrych płuc czy znów trzeźwej głowy. Taki znów np. zawód pielęgniarki suponuje przynajmniej średnio odporny system nerwowy i nie zbyt nadmierną wrażliwość. Obecnie te rzeczy normują specjalnie lekarskie badania kandydatów do poszczególnych zawodów.

4-o). Pedagog Foerster kładzie nacisk jeszcze na jeden ważny czynnik, który definitywnie zadecyduje o sukcesach i owocności naszej zawodowej działalności. Jest nim ż y w e, p r a w e sumienie. I rzecz jasna, na niewiele przydadzą się i wyjątkowe uzdolnienia i doskonałe zdrowie bez rzetelnego sumienia w wykonywaniu zawodu.

Stąd prosty wniosek, że im większa odpowiedzialność zaciąży na nas w przyszłym zawodzie, tym bardziej potrzebne nam będzie wrażliwsze i czułe sumienie.

*

Jeśli przy wyborze zawodu potrzeba trzeźwego namysłu, to tym głębszego zastanowienia potrzeba przy wyborze zawodu, który jest związany z utrwaleniem stanu. Mamy na myśli stan zakonny czy kapłański. Stan o którym Chrystus powiedział: „Nie wszyscy pojmują tę naukę (to zaproszenie), jeno ci, którym jest dane".

Sam Kościół wskazuje na trzy znaki powołania do stanu kapłańskiego ewentualnie zakonnego, kiedy w swym prawie postanawia: „Do zakonu może być przyjętym każdy katolik, który nie jest związany żadną prawną przeszkodą, kieruje się prawą intencją i jest zdolny do podjęcia obowiązków zakonnych". A zatem żąda Kościół tych trzech warunków do ustalenia powołania:

1) Nieistnienia przeszkód, które z ustanowieniem prawa kościelnego czy danego Zakonu, wzbraniają przyjęcia kandydata do Zakonu ewentualnie do kapłaństwa;

2) Czystej intencji, czyli, innymi słowy, by nie doczesne, materialne względy, ale wyższe nadprzyrodzone motywy, pobudki, skłaniały do wyboru życia zakonnego lub kapłańskiego;

3) Odpowiednie uzdolnienia. W pośród które zwykle wlicza się zdrowie tak fizyczne jak i umysłowe, zalety moralne oraz, o ile mowa o powołaniu do kapłaństwa, zdolności umysłowe, rokujące nadzieję podołania wymaganym studiom.

A jakie będą oznaki czystej intencji? O. Wiliam Doyle T. J. między innymi, wylicza następujące:

a) Coraz silniejszy pociąg do modlitwy i rzeczy Bożych z tęsknotą za życiem ukrytym i pragnieniem ściślejszego zjednoczenia z Bogiem.

b) Przekonanie, że świat nie jest zdolny zaspokoić i zadowolić duszy. To uczucie jest zwykle najsilniejsze pośród zabaw światowych.

c) Lęk przed grzechem.

d) Znakiem powołania bywa także u niektórych obawa, że Pan Bóg ich wzywa. Modlą się, by tak nie było, a jednak tej myśli pozbyć się nie mogą. Jeżeli powołanie jest prawdziwe, na wyższych pobudkach oparte, to wkrótce w miejsce wstrętu obudzi się pociąg. Jednakże słusznie zauważa o. Lemkuhl (na co „klasycznym" przykładem może być autobiografia św. Teresy od Jezusa, r IV), że naturalna skłonność do życia zakonnego nie jest konieczną potrzebą, przeciwnie powołanie od Boga może się zgodzić z naturalnym wstrętem do tego stanu, byle tylko wola i rozum powodowały się motywami nadprzyrodzonymi.

e) Gorliwość o dobro dusz. Głębsze zrozumienie wartości duszy nieśmiertelnej i pragnienie przyczynienia się do ich zbawienia.

f) Pragnienie zachowania dziewictwa.

Oznaki te zdaje się również potwierdzać dekret Stolicy Apostolskiej z dnia 2 lipca 1912, w którym czytamy, że wszystko co jest wymagane od kandydatów do święceń jest to „prawa intencja i takie dary natury i łaski okazane przez czystość obyczajów i naukowe uzdolnienia, że można mieć uzasadnioną nadzieję, że kandydat dobrze się wywiąże z powinności kapłańskich". Tenże sam dekret nadmienia, że wewnętrzny pociąg nie jest koniecznym warunkiem powołania do stanu duchownego oraz że gdy wyżej wymienione warunki istnieją, istotne powołanie udzielane jest przez biskupa w chwili wyświęcenia.

*

Życie ludzkie jest poematem, nawet to, w którym nic nadzwyczajnego się nie dzieje? Że najpiękniejsze żywoty są tych ludzi, których wolna wola, wspomagana łaską, okazała wierność swemu powołaniu.

Niezależnie jakie ono było. Chodzi tylko o wierność i dobre, trzeźwe rozpoznanie swego powołania.

Wówczas i my, pod wieczór życia, będziemy mogli z błogim uczuciem powtórzyć za naszym Zbawicielem: „Ojcze... ja wsławiłem ciebie na ziemi, wykonałem sprawę, którąś mi zlecił".

O. Rudolf k. b.

---

[1]) Michalina Janoszanka: „Wielki Tercjarz", — Poznań.

[2]) Z listu do narzeczonej, tamże, s. 277.

[3]) Dzieje duszy, r. I.

[4]) Jerzy Andrzej Górski: „Dilige et quod vis fac", Warszawa Pax, 1951.

[5]) I do Koryntiau, XII, 28.

[6]) Z przemówienia do maturzystek. — Zob. Prof. L. Hirszfeld: „Historia jednego życia" — „Czytelnik" — 1946.

ZWYCIĘSTWO DUCHA

„Bojowaniem jest życie człowiecze na ziemi“ powiedział niegdyś Job cierpliwy. I słusznie, bo całe nasze życie, począwszy od kolebki aż do grobowej deski, polega na ciągłym pokonywaniu najprzeróżniejszych trudności. Ileż to musi nameczyć się małe dziecko, nim zacznie stawiać pierwsze kroki? Nawet tak łatwa rzecz, jak przeniesienie kilku gramów strawy z talerza do ust, wymaga nieraz długiego ćwiczenia. A później, ileż to kłopotów z nauką, ze zdobyciem środków na własne utrzymanie, na utrzymanie najbliższych. A gdy człowiek ma już chęć wyrzec: „no nareszcie teraz sobie wypocznę“, spostrzega niespodziewanie, że nie ma czasu na odpoczynek. Starość zaczyna wkładać na barki coraz to nowe ciężary, czy to w postaci chorób, czy też innych dolegliwości. Całe życie człowieka od początku do końca najeżone jest trudnościami, z którymi wciąż trzeba walczyć. I niewielu jest takich, którzy przy końcu życia znajdą zasłużony odpoczynek.

Człowiek jest najbardziej skomplikowaną istotą wszechświata. Uczeni bez przerwy prowadzą badania nad procesami fizjologicznymi, jakie w nim zachodzą i odkrywają coraz to nowe nieznane dotąd szczegóły, lecz wciąż jeszcze pozostaje coś do zbadania. Psycholodzy trudzą się nad ustaleniem praw, według których działają zmysły, rozum i wola. Dochodzą niekiedy pod tym względem do zdumiewających wyników, lecz o ileż bardziej skomplikowane zagadki czekają jeszcze na rozwikłanie. Ale najbardziej znamiennym w człowieku jest to, że znajduje się na pograniczu dwóch światów. Reprezentuje on zarówno świat materialny jak i świat ducha. Może w nim pulsować życie przyrodzone i życie nadprzyrodzone. Nie znaczy to, ażeby te dwa różne sposoby życia były ze sobą sprzeczne, czyli żeby jeden sposób wykluczał drugi, bo życie nadprzyrodzone — życie łaski, nie niszczy natury, ale ją udoskonala. Aby jednak mogło się dokonać to udoskonalenie życia przyrodzonego przez łaskę, musi natura zrezygnować ze wszystkich narowów, które spowodował w niej grzech pierworodny. Musi się wyrzec wszystkich wybujałości, które nie dadzą się pogodzić z życiem nadprzyrodzonym. I tu właśnie powstaje ta walka duchowa. Łaska stara się zdobyć jak najbardziej dogodną pozycję, jak najkorzystniejsze warunki rozwoju, a natura nie chce ustąpić.

Dzieje się tu podobnie, jak gdy ogrodnik szczepiący dziczkę, najpierw obcina wszystkie latorośle, a następnie zatyka w miejsce obciętych gałązek szlachetne zrazy, które czerpiąc soki z pnia dziczki, rozrosną się w potężne gałęzie rodzące smaczne owoce. Pień dalej pozostał dziki i nieraz jeszcze będzie wypuszczał z siebie dzikie latorośle, lecz zadaniem ogrodnika jest czuwać nad tym, aby nie pozwolić im się rozwinąć,

a z drugiej strony z największą starannością pielęgnować gałązki szlachetne. Żeby móc szczepić, trzeba dziczkę zachować, nie można jej niszczyć; lecz żeby mogły wzrastać latorośle szlachetne, trzeba wciąż obcinać dzikie gałązki.

Zasadę tę można śmiało przenieść w dziedzinę życia nadprzyrodzonego. Natura nasza ze wszystkimi funkcjami fizjologicznymi i psychicznymi jest pewnego rodzaju dziczką, w którą zaszczepiony jest na Chrzcie św. w szlachetny zraz łaski. Pieczę nad rozwojem tej łaski w duszy naszej objął sam Duch Św. On pełni rolę ogrodnika, pod Jego bacznym okiem wyrastają w duszach piękne owoce świętości. Wprawdzie natura ludzka po grzechu pierworodnym ulega raczej ciału, a zapomina o rzeczach duchownych, ale Duch Św. wyposaża duszę, On sam kieruje każdym posunięciem. Za każdym razem, kiedy otrzymujemy łaskę, wraz z nią wstępuje do duszy Duch Św., by ją bez przerwy zamieszkiwać i gospodarować w niej. Przynosi z sobą cnoty boskie: wiarę, nadzieję i miłość, które w dziedzinie nadprzyrodzonej — wyrażając się obrazowo — udoskonalają duszę pod względem gospodarczym, czyli umożliwiają życie łaski. Następnie wlewa w duszę cnoty moralne. Te udoskonalają ją. I wreszcie wyposaża duszę swymi darami, które doskonalą ją pod względem administracyjnym. Dzięki tym darom mogą sprawniej działać cnoty wlane, zarówno teologiczne jak i moralne. I nie dość tego, On sam obejmuje kierownictwo nad akcją uświęcenia w każdej poszczególnej duszy. My w tej walce pełnimy rolę narzędzi; wprawdzie wolnych i rozumnych, ale tylko narzędzi.

Chociaż osiągnięcie świętości polega przede wszystkim na działaniu Ducha Świętego w nas, to jednak nie wolno nam zapominać o osobistym wkładzie pracy około jej zdobycia. Aby ten nasz Uświęciciel mógł w duszy zatriumfować, musi ona czynnie z Nim współdziałać ponieważ jak powiada św. Augustyn: „Bóg stworzył nas bez nas, ale nie zbawi nas bez nas". A jeśliby nam czego niedostawało, On nas wesprze Swoją wszechmocą według słów św. Pawła: „A podobnie też i Duch wspomaga niedołęstwo nasze; albowiem o co prosić mamy, jak potrzeba, nie wiemy; ale sam Duch prosi za nami wzdychaniem niewymownym".

Karmelita Bosy.

„Kapłaństwo“ w małżeństwie

List dwudziesty czwarty zamiast do Krystyny — do Tadeusza

Chłopaku mój drogi!

Niechże Ci podziękuję za całą radość, jaką mi sprawiła Twoja „prywatna“ wiadomość! Choć nie była dla mnie niespodzianką. Już dość dawno się domyślałem, że się na to zanosi. („Odwieczna odpowiedź na każdą wiadomość“ — pomyślisz sobie). Ale przyznasz, że nietrudno się było domyślić. Zbyt jaskrawa była różnica pomiędzy Twym pierwszym listem, gdzie była mowa o „rozwydrzonych pannach z pomiędzy których niełatwo sobie wybrać żonę“, a drugim, w którym pragnąłeś „móc się wsłuchać w bicie serca ukochanej istoty, by wyłowić z niego głos jej duszy“. Jasne było, że między jednym, a drugim musiało nastąpić „wielkie spotkanie“. No, ale wszelkie życzenia, pytania itp. wybryki sentymentu odkładam do następnego, prywatnego listu, przeznaczonego już tylko dla Was obojga. Bo w niniejszym, zamierzam po prostu... nadużyć Twego zaufania. Mam nadzieję, że się o to nie pokłócimy. W charakterze zamówionej przez Ciebie „monografii“ o „kapłańskich“ zadaniach małżeństwa, pójdzie w świat nie mój list, a Twój. I nie wątpię, że wyjdzie to naszym łaskawym Czytelnikom bez porównania bardziej na pożytek. Podaję więc jego tekst, niemal in extenso:

„W czasie ostatniej przerwy semestralnej urwałem się (gdzież by, ach gdzie, jak nie...) do Zakopanego. Ale (widocznie już tak było pisane) musiałem zaraz na wstępie wykręcić sobie kopyto. O, niegroźnie! Ale, trudno, trzeba było parę dobrych dni podyżurować na leżaku. Jak się Pan domyśla, początkowo kląłem to wszystko w żywy kamień. Niemniej okazuje się, iż takie przypadki niejednemu już wyszły na zdrowie. Toż przecie wielki Lojola w analogicznych opresjach dokonał nielada odkryć. Nie twierdzę, abym ja również dokonał odkryć. Ale moja przygoda o tyle istotnie przypominała tamtą, iż nie tylko, że mnie „unieruchomiło“, ale że w dodatku — czytając z nudów wszystko, co pod rękę wpadło — trafiłem na rewelacyjną książkę. Przypuszczam, iż Pan jej nie czytał, gdyż inaczej chyba jakieś jej echa wyłowiłbym w Jego listach. Nazywa się to „Między heroizmem, a bestialstwem“, a napisał ks. prof. Konstanty Michalski. Jest tam taki rozdział, zatytułowany „Spór o miejsca“. Nie będę Panu referował. Proszę koniecznie przeczytać. Przyślę gdy tylko zdobędę na własność. A kiedy Pan przeczyta, przemyśli, no i chyba też przemodli, to proszę nam, z łaski swojej, kropnąć monografię o „kapłańskim“ charakterze małżeństwa. Monografię — czyli po prostu list całkowicie poświęcony tej sprawie. Sprawie bodajże kluczowej dla naszego tematu. — Co prawda, to napomknął Pan o tym tu i ówdzie. Ale — proszę mi wybaczyć — grubo za mało! A gdy się Pan będzie zabierał do tego listu to może zechciałby również wziąć łaskawie pod uwagę następujące pytania i refleksje niżej podpisanego sługi.

1. Dlaczego nie popularyzuje się takich myśli jak te, które zawiera książka ks. Michalskiego? Jestem pewien, że podobne myśli można znaleźć w niejednym poważnym dziele. Nie wątpiłem nigdy, że nauka Kościoła o małżeństwie jest bardzo mądra i bardzo bogata. Ale ostatecznie wszystkie te poważne dzieła są przeważnie dość obszerne. I dość trudne. Nie każdy pętak przez nie przebrnie. A tymczasem wielu słucha kazań niedzielnych i uczęszcza na wielkopostne rekolekcje.

2. Czy nie sądzi Pan, że do zabagnienia dziedziny etyki seksualnej przyczyniło się w lwiej mierze to, że ludzie jak najlepszej woli za dużo prawią i myślą o ujarzmieniu zmysłów, a mocno za mało o ich kulturze? Wśród ludzi (a takich jest napewno powyżej 90%) którzy nie mają ani czasu, ani zacięcia do głębszego przemyślenia tych spraw, panuje przekonanie, że w pojęciu moralności katolickiej, zmysły

są jakąś szatańską siłą, jakąś dziką bestią, którą trzeba za wszelką cenę zamknąć do klatki, drżąc przy tym nieustannie by nie przegryzła prętów i nie rozszarpała człowieka na sztuki. Ale jeśli już sięgać do porównań zoologicznych, czy nie lepiej byłoby przedstawiać te zmysły pod postacią pysznego konia, danego nam przez Pana Boga, wprawdzie w stanie o tyle dzikim, że jeszcze nie okiełzanym i nieujeżdżonym, ale którego naszym zadaniem jest ujeżdżać, a ambicją powinno być — ujeździć jak najpozytywniej. Ale ujeżdżać konia to nie znaczy ani dać mu się ponieść by połamał nam gnaty, ani uwiązać go w stajni, żeby się szarpał i wierzgał, aż się beznadziejnie znarowi, ani zmaltretować go tak, że z rasowego rumaka zrobi się skapcaniała chabeta. Ujeżdżać, to znaczy nałożyć wędzidło, trzymać w cuglach, wdrożyć do uległości każdemu skinieniu. A do tego nie wystarczy konia poskromić. Trzeba go też zrozumieć i ucząc go wielu rzeczy samemu niejednego się od niego nauczyć. W ten sposób tylko można wychować sobie wspaniałego wyścigowca.

Wiadomo Panu nie od dziś, że (niezależnie nawet od motywów religijnych) uważam wstrzemięźliwą młodość, może dosadniej mówiąc okres kawalerstwa, za najbardziej morowy wyraz prawdziwej męskości (bo jeśli chodzi o kobiety, to chyba zawsze, przynajmniej w teorii, tak właśnie stawiano tę sprawę). To jest właśnie okres ujeżdżania konia. Warto by to bractwu w taki sposób przedstawiać i pod tym kątem widzenia zalecać. Może by wtedy lepiej zrozumieli, ile można z tego wytrzasnąć pierwszorzędnej sportowej satysfakcji. A w małżeństwie dopiero przyjdzie pora na wyścig. Wyścig o tę wielką nagrodę, którą Pan w swych listach nazywa świętością. Wspólny bieg jeźdźca-duszy i wierzchowca-ciała. Jakżeż można nie doceniać roli, którą zmysły — właśnie takie ujeżdżone, ale pełnokrwiste — mogą i powinny odegrać w wyścigu o doskonałość! Nawiasem mówiąc — jak to Pan, zresztą, kiedyś wspomniał — tylko taka interpretacja roli zmysłów pozwala zmierzyć istotną wielkość religijnego celibatu i dziewictwa. Pojmując wyrzeczenie się małżeństwa i miłości jako zamykanie do klatki dzikiego zwierza by nam nie przeszkadzał w chwaleniu Pana Boga — chyba krzywdząco pomniejszamy wspaniałość takiego wyrzeczenia. Dopiero gdy będziemy je pojmowali jako złożenie w darze najpotężniejszych mocy przyrodzonych jakimi Bóg człowieka obdarzył, zdołamy sprawiedliwie ocenić i wartość daru i wielkość ofiary.

3. Powtarza się w kółko, że jedyną legitymacją popędu płciowego jest prokreacja. Owszem, słusznie. Ludziska tak potwornie sfałszowali i zdeprawowali to wszystko, że istotnie trzeba im ustawicznie przypominać, że dwa razy dwa jest cztery. Ale czyż naprawdę — już po włożeniu ludziom łopatą do głowy, że dziecko jest najważniejszym celem małżeństwa, celem od którego żadnemu człowiekowi, który chce być wart tej nazwy nie wolno się wykręcać — nie warto również kilku słów poświęcić i innym — pod pewnymi względami może jeszcze donioślejszym zadaniom małżeństwa jako takiego? Dziecko jest wprawdzie celem bezpośrednim i konkretnym. Ale jest to zarazem cel tylko potencjalny i zawsze ostatecznie hipotetyczny. Nigdy z góry nie wiadomo, czy zostanie osiągnięty, czy nie. A nieosiągnięcie go wszak w niczym nie osłabia ważności sakramentalnego związku małżeńskiego. Ani bezdzietność niezawiniona, ani kalectwo, ani przekroczenie wieku płodności, ani żadne inne czynniki uniemożliwiające wydania potomstwa — o ile mi wiadomo — nigdy nie stanowiły w oczach Kościoła podstawy do unieważnienia małżeństwa, nawet gdyby któraś ze stron mogła z kimś innym mieć dziecko, lub je faktycznie miała. — Natomiast sam fizyczny akt miłości posiada w małżeństwie charakter sakralny, niezależnie od wyników, jakie mu Wola Opatrzności przeznacza. Proszę nie myśleć, że wyobrażam sobie, iż ten charakter sakralny trwa nawet wtedy, gdy ludzie nim frymarczą (żeby odwdzięczyć się Panu posłużeniem się Jego terminologią).

Ale wydaje mi się, iż daleko mniej by nim frymarczyli, gdyby zdawali sobie sprawę, że fizyczna miłość w małżeństwie nie jest sprawą, w najlepszym razie, tylko przyrodzoną i, jeśli nie negatywną, to wyłącznie neutralną, a którą z musu trzeba było naskórkowo ochrzcić w imię dalszego trwania ludzkości — ale że jest ni mniej, ni więcej, tylko... ustawicznym dorastaniem do wymagań nałożonych na nich przez łaskę sakramentu.

4. Gdy się powiedziało „sprawowanie Sakramentu" to już się dochodzi do pojęcia „kapłaństwa". I tu chciałbym Panu wyłożyć kilka myśli, które mi się nasunęły po przeczytaniu książki Ks. Michalskiego. Coś już bardzo zbliżonego powiedział Pan wprawdzie w którymś ze swych listów do p. Krystyny: „tak jak prawo dotykania najwyższych świętości zostało powierzone pomazanym dłoniom wyświęconego kapłana, tak współpraca z Bogiem-Stwórcą została powierzona tylko ciałom wyświęconym przez Sakrament małżeństwa". Ale wracam znów do tego co powiedziałem wyżej: jeśli jakieś małżeństwo, nie z własnej winy, a z wyroku Bożego nie doczeka się faktycznej „współpracy ze Stwórcą". Co wtedy? Czy już wtedy siłą faktu nie może być mowy o „kapłańskim" charakterze miłości małżeńskiej? Jakie jest wtedy (znów Pana terminologia) „nadprzyrodzone" znaczenie — chciałoby się powiedzieć „posłannictwo" — tej miłości samej w sobie? Znów przychodzi mi na myśl zoologia, która sama się narzuca, gdy mowa o biologicznych siłach. Oto całe stworzenie głosi, jak wiadomo, chwałę Stwórcy. Ale głosi ją biernie, nieświadomie. Jeden tylko człowiek, sławetna „istota rozumna" zdoła prawom przyrody, które są prawami Boga, nie tylko ulegać, ale się im dobrowolnie i świadomie poddać. On jeden tylko zdoła to poddanie się powiązać z myślą o Bogu, tchnąć w nie pokorę, ufność, uwielbienie, dziękczynienie. W wielkim chorale przyrody człowiekowi jednemu przypada rola nie tylko wirtuoza ale i, w pewnym sensie kompozytora. Bo tylko on może dowolnie z przewodnich motywów instynktu wyprowadzić, albo tę kakofonię wyuzdania od jakiej świat aż huczy. albo skomponować z nich najwspanialszą pieśń wdzięczności i czci dla Tego, który życie stworzył. Ale o tym się nagminnie zapomina. Wydaje się wszystkim, że jedyną postawą na jaką człowieka stać w stosunku do spraw płci, to jest albo wstrzymać się od udziału w tej pieśni całego stworzenia, albo zmącić ją wyciem rozpusty. Toteż nikomu nie przychodzi do głowy, że małżeństwo to właśnie nadanie człowiekowi godności pośrednika pomiędzy siłami życia, a Dawcą wszelkiego życia. — W tym sęk. I również godność kapłana-ofiarnika. Ofiarnika tego wszystkiego co w małżeństwie wymyka się już woli ludzkiej. Wszystkiego, co jest przymusem, lub niespodzianką — nieraz jakże bezlitosną! — przyrody. Tego wszystkiego, co przy bliższym obejrzeniu okazuje się być zrządzeniem Woli Bożej. Wydaje mi się, że wszędzie gdzie człowiek czuje się we władaniu przyrody, tej nieskażonej, rządzonej bezpośrednio przez Opatrzność, tam daleko żywiej odczuwa, iż żyje wprost z ręki Pana Boga. Oczywiście pod warunkiem, że umie to wypatrzeć i wyczuć. Jest w tym coś podobnego do sytuacji rolnika, który swą zależność od pogody i burzy, odczuwa jako pewien bezpośredni kontakt z wyrokami Boga.

5. Pomiędzy czynnikami uniemożliwiającymi przekazywanie życia wymieniłem i takie, które również uniemożliwiają fizyczną miłość. A jednak i one nie wpływają w niczym na ważność Sakramentu. Z tego chyba wynika niezbicie, że małżeństwo sakramentalne jest przede wszystkim związkiem dusz. Chyba dla każdego katolika powinna to być prawda jasna jak dzień. Istotnie mówi się o tym czasami, ale bardzo „wodnisto", czysto abstrakcyjnie, nie uzasadniając ani dlaczego tak jest, ani co się do tego przyczynia. Nie wspomina się zbyt wiele o tym, iż ten związek dusz zabarwia „kapłaństwo" — duszpasterstwem. Ale Ks. Michalski wspaniale o tym pisze. Ubolewa nad tym, że choć tyle się mówi o obowiązkach rodziców wobec dzieci, tak mało

uwagi poświęca się wzajemnemu oddziaływaniu małżonków na siebie. Pisze bardzo pięknie o tym, że przecie nikt nie zdoła głębiej zajrzeć w duszę drugiego, niżeli mąż i żona. A wydaje mi się, iż ta znajomość wzajemna jest dlatego tak wnikliwa, że zdobywa się ją nie tylko drogą obcowania duchowego czy umysłowego, ale właśnie drogą obcowania cielesnego. Napewno nie można nigdy tak dokładnie poznać ani rodziców, ani rodzeństwa, ani własnych dzieci; bo fizyczne współżycie — chociażby z jakichkolwiek powodów nie trwało długo — demaskuje wiele pozorów. Ciało jest proste. Nie kłamie, nie potrafi długo udawać, ujawnia wiele cech duszy i charakteru, które w innych stosunkach pozostają głęboko ukryte. Dlatego to nieraz wieloletnia miłość narzeczeńska, w małżeństwie zmienia się w odrazę, czy nawet nienawiść. Wtedy ludzie mówią: „Znali się tyle czasu, widywali się co dzień, to nie mogli się wcześniej zorientować, że sobie nie odpowiadają?“ Nie, nie mogli. Najgłębszą treść każdego z nich ujawniło dopiero fizyczne współżycie. (Proszę nie myśleć, że chcę przez to zachwalić jakieś „wszechstronne“ poznanie się przed związaniem się na całe życie. Wręcz przeciwnie! Znów — niezależnie od względów religijnych — uważam, że to jest zawsze mocno ryzykowne, a prawie nieuchronnie prowadzi do szybkiego „rozlecenia się“, chociażby dlatego, że rysy charakteru ujawnione przez słabość woli i brak opanowania, nie mogą żadną miarą wzbudzać wzajemnego zaufania).

Ale wracam do swego. Czy zdobycie w małżeństwie takiego klucza do czyjejś duszy, klucza, którego nikt inny nie posiada, nie obowiązuje? Czy nie obowiązuje do zrozumienia swej odpowiedzialności za doskonałość, ba, za zbawienie drugiego? Czy nie obowiązuje do tego by samemu niezmordowanie „stróżować“ przy nim i dać jemu „stróżować“ nad sobą? Prawo naczyń połączonych chyba do żadnego zjawiska nie przystaje tak znakomicie jak do małżeństwa. Jestem przekonany, że w małżeństwie poziom wewnętrzny obu stron zawsze opada, lub podnosi się równomiernie. Wprawdzie widuje się często pary na pozór jak najbardziej „nierównomierne“. Żona dzielna, wspaniała, może nawet zdawałoby się, świątobliwa, a mąż — łajdak, czy safanduła. To znów on — morowy gość, ona — głupia lalka, albo jeszcze gorzej. Ale to, mam wrażenie wcale nie przemawia przeciwko mojej teorii. Bo w gruncie rzeczy zachodzi tu też jakieś „wyrównanie poziomów“. Po tej stronie, która na pozór wykazuje wszystkie cnoty, musi być jednak jakiś ukryty niedostatek, jakaś słabość woli, czy pycha, czy obojętność, czy jeszcze coś innego, co faktycznie sprowadza jej poziom wewnętrzny do poziomu tamtej strony i za ten drugi poziom ponosi odpowiedzialność. Pytanie, czy rozwód, to nie jest właściwie ucieczka przed koniecznością pracy nad samym sobą?...

Pisząc swą „monografię“ powinien Pan, jak sądzę, położyć jaknajsilniejszy nacisk na te „duszpasterskie“ obowiązki, które wynikają ze spójni dusz, ale swój — jedyny w swym rodzaju materiał poznawczy — zdobywają poprzez spójnie ciał. Niech Pan podkreśli, że to jest może najdonioślejsze, nadprzyrodzone znaczenie miłości fizycznej. I w ogóle proszę coś o tym powiedzieć, że nie sztuka konia prowadzić tylko za uzdę, a samemu dreptać obok niego na piechotę. Ale że trzeba dosiąść go tak umiejętnie i wyzyskać tak wszechstronnie, by mógł stać się (znów sięgnę do Pana terminów) jednym z głównych, doczesnych narzędzi zwycięstwa w wyścigu. — Z prawdziwym napięciem czekam na list“.

Nie ma co czekać, boś się już doczekał. Wybacz mi, jeśli Ci sprawiam zawód. Ale po namyśle przyznasz mi słuszność. Tobie samemu, moja odpowiedź nie jest potrzebna. A dla innych, podumanie nad Twymi rozważaniami, napewno okaże się bardziej twórcze, niżeli czytanie mego ględzenia.

A książki Ks. Michalskiego mi nie przysyłaj. Bo ją mam. I kilka razy ją

GOSPODARNOŚĆ I JEJ ORSZAK

Z trzech głównych pokus, które atakują człowieka przez całe życie i są źródłem wszelkich innych jego skłonności do złego — jedna nosi miano pożądliwość oczu. Nie jest jest ona może tak niebezpieczna, jak pozostałe dwie pokusy (pożądliwość ciała i pożądliwość ducha), gdyż jej podniety, choć dotyczą rzeczy materialnych — to jednak nie wymagają zaspokojenia przez fizyczny z nimi kontakt i dlatego pokusa ta nie ma tak wybitnie zmysłowego charakteru, jak np. pożądliwość ciała, niemniej jednak i ona doprowadzić może do wykroczeń tak poważnych, że zagrażać one mogą zbawieniu wiecznemu duszy w równym stopniu, jak i tamte dwie pożądliwości. Stoi ona na pograniczu przeżyć cielesnych i duchowych, przedmiotem bowiem pokuszenia są dobra doczesne, uosobione zwłaszcza w pieniądzach, ale zaatakowana przez pokusę jest raczej dusza, ona to właśnie dóbr tych pożąda, do nich lgnie, widząc w nich cel swych dążeń, zamiast środka do osiągnięcia innych celów. Samo ciało rzadko tylko i niewielką gra przy tym rolę.

Pokusa ta doprowadzić może do czterech rodzajów uchybień, które przeciwstawiając się sobie wzajemnie wykazują czworaką niedoskonałość człowieka w sposobie używania przez niego dóbr doczesnych. Pierwszą parę stanowi chciwość i skąpstwo. — Chciwość łapczywa jest na wszystko co możliwe jest do zdobycia w zakresie posiadania majętności. Skąpstwo, z pokrewnym sobie sknerstwem, które jest formą skąpstwa ludzi bardzo bogatych, to co posiada chowa skrzętnie, niechętnie rozstaje się ze swymi zdobyczami. Odmienną wręcz jest druga para uchybień. Stanowi ją rozrzutność i marnotrawstwo. — Rozrzutność nie dba o magazynowanie dóbr. Roztrwania co posiada, nie licząc się z trudem

---

(Dok. ze str. 184)

czytałem. Ale można czytać i... czytać. Okazuje się, iżeś posiadł tę sztukę o wiele bieglej niż ja. I w ogóle, co tu gadać! Listy o świętości w małżeństwie, wiem już kto powinien napisać. I napewno kiedyś napisze. Na użytek pokolenia, którego już ja nie dożyję.

Zanim otrzymasz obiecany „prywatny" list, powiedz Twojej Pani, że — choć nic jeszcze o Niej nie wiem poza tym, iż jest właśnie Twoją Panią, to jednak jestem już całkowicie „pogrążon". Aha, i jeszcze jedno: że chociaż może sama o tym nie wie, niewątpliwie musiała urodzić się w czepku.

No, daj pyska, Stary! I... i niech Ci Bóg błogosławi!

Jan Rybałt.

P. S. Już wiem jak mam Krystynie wyjaśnić jak się odróżnia prawdziwą miłość „od Boga przeznaczoną" od wszelkich „niedobrych miłości". To bardzo łatwo. Oto pierwsza nie przychodzi nigdy sama, ale zawsze w towarzystwie wszystkich darów Ducha św.

zdobycia, z potrzebami na przyszłość. Marnotrawstwo nie ma tak szerokiego gestu, ale za to brak mu codziennej staranności w szanowaniu tego, co się posiada. Trwoni nie wydając, lecz przez proste niedbalstwo, przez brak porządku, uwagi, pilności w obchodzeniu się z każdą rzeczą tak, jak tego wymaga jej natura.

Tym czterem grzechom, które — zależnie od usposobienia danego człowieka — w różnorodny sposób są skutkami nieprzeciwstawiania się tej samej pożądliwości oczu — stawia czoło piękna cnota gospodarności wzgl. rządności, która — wspierając się na niezawodnym fundamencie cnoty sprawiedliwości i za jej podszeptem — ustosunkowuje się do dóbr doczesnych tak, jak na to zasługują, więc z umiarem właściwym każdej cnocie.

Cnota gospodarności czyli rządności — to umiejętność gospodarowania, rządzenia, a więc gromadzenia, przechowywania, używania i wydawania dóbr doczesnych, uosobionych zwłaszcza w pieniądzach, będących środkiem do nabywania wszelkich innych dóbr. Zajmuje ona pośrednie miejsce między zbytnią lekkomyślnością w wydawaniu i dbaniu o to, co się posiada — a nadmiernym przywiązaniem do zdobytego majątku. Podobnie, jak pożądliwość oczu znajduje swe zaspokojenie w rozrzutności i marnotrawstwie lub chciwości i skąpstwie — tak i cnota gospodarności swe dobre uczynki pełni w różnorodny sposób. W formie hojności umie wydawać posiadany majątek na własne potrzeby danej jednostki nie przekraczając jednak roztropnych granic, a zatem nie popadając w rozrzutność. Gospodarność iść potrafi jednak i dalej, bo pamięta również o potrzebach innych ludzi, bądź to przy pomocy ofiarności, gdy chodzi o przeciętne warunki majątkowe, bądź to przy pomocy szczodrobliwości czyli wspaniałomyślności, gdy w grę wchodzą osoby zamożne, dobrze sytuowane. A wreszcie przy pomocy pracowitości gospodarność pomnaża dobra społeczne, z których część przypada tym samym danej jednostce, a strzeże ich oszczędność zarówno czynna przy gromadzeniu, jak i przy przechowywaniu i wydawaniu tego, co się posiada. Już z tego krótkiego wyliczenia widać, że gospodarność wspomagana jest walnie przez orszak cnót i w ich towarzystwie stawić ona może dzielnie czoło różnorodnym pokusom pożądliwości oczu.

A pokusa ta, choć pozornie mniej niebezpieczna pod względem zmysłowym, nie przestaje atakować wymienionymi sposobami każdego człowieka. I na swój sposób wiąże człowieka z ziemią, przykuwa doń, odwracając uwagę od spraw wyższego rzędu. Chytrość jej w tym się zwłaszcza ujawnia, że podchodzi ona do człowieka nie od jego zwierzęcej strony, ale właśnie od tej wyższej, bo duchowej — i tę duszę skuwa z materią, ukazując jej powaby nie tylko cieleśnie, ale i duchowo. To też okazja do ćwiczenia się w cnocie rządności pod wszelkimi jej postaciami stoi otworem co dzień i dla każdego. Każdy bowiem posiada przynajmniej pewne minimum dóbr,

które mu mieć wolno, ale w których nie powinien topić całego serca, których nie powinien chcieć użyć do maksimum i których utrata nie powinna go unieszczęśliwiać. Człowiek ma z wewnętrzną swobodą obracać się wśród tego, co posiada. Być ubogim duchem, jak to Chrystus zaleca na pierwszym miejscu w swych błogosławieństwach w kazaniu na górze. Nie być niewolnikiem majątku, bogactwa. Wówczas potrafi człowiek z umiarem oszczędzać i z umiarem wydawać, a nawet powodowany szlachetnością potrafi dać ofiarnie czy nawet szczodrobliwie na cele wspólne, społeczne i dla innych, potrzebujących. Ćwiczenie się w tej cnocie pozwala przezwyciężyć wewnętrzny opór, jaki odezwać się może w razie potrzeby wyzbycia się części swych dóbr, toteż skromne warunki życiowe pomagają do nabywania tej cnoty, gdyż naturalne okoliczności życia uczą w tym wypadku i liczenia się z tym co się posiada i wydawania tak, jak na to daną jednostkę stać. Cnota ta uczy mieć zrównoważony budżet domowy i osobisty.

Gospodarność czuwa nad pracowitością, gdyż i ona może paść ofiarą chciwości lub skąpstwa. Przez pracowitość bowiem gromadzi się dobra. Kto jednak uwiedziony zostaje przez jedną z tych pokus ten zapracuje się na śmierć, bądź to by zbić jak największy majątek, bądź to by nic nie uronić z tego, co się zgromadziło. Gospodarność kładzie kres obu tym nadużyciom. Rządzi pracą w myśl dobra duchowego człowieka. Pozwala przez nią dorabiać się, a przez hojność i ofiarność odprowadza od człowieka nadmiar majątku, który by go wiązał zbyt silnymi więzami.

Hojnością i ofiarnością kieruje ze swej strony zdrowa oszczędność. Ma ona na celu zachowanie zdobytego majątku, nie dopuszcza do lekkomyślnego roztrwonienia go. Ale i ona musi być rządzoną przez umiar, gdyż i ona jak pracowitość, ma swego wroga, a jest nim skąpstwo i sknerstwo. Oszczędność jest składnikiem hojności i ofiarności, służy im i nie wolno jej uzależniać się od nich. Trzeba oszczędzać — zapewne — ale cele oszczędności leżą poza nią. Oszczędzanie dla oszczędzania przeradza się w skąpstwo. Natomiast oszczędzanie po to, by móc rozumnie wydawać jest formą gospodarności. Przy tym oszczędność obejmuje nie tylko pieniądze, rzeczy, ale interesuje się też i siłami fizycznymi i duchowymi człowieka, którymi gospodaruje oszczędnie, by służyć mu mogły, jak najdłużej. Oszczędność więc wymaga swoistego sposobu opanowywania się, zmusza do dokładności, do staranności, co działa bardziej wychowawczo niż samo powstrzymywanie się od zwykłego niewydawania pieniędzy. Tym samym oszczędność przeciwstawia się marnotrawstwu i rozrzutności, każdemu z nich zresztą w odmienny sposób. Obie te wady doprowadzić mogą do ciężkich przewin, których skutki odbijają się na życiu rodzinnym często w sposób opłakany. A zwłaszcza gdy chodzi o marnotrawienie lub rozrzutność w zakresie

rzeczy o większej wartości, względnie cudzej własności. Jeszcze gorzej, gdy majątek zostaje użyty na złe cele, ponieważ nawet osobistej własności nie wolno używać ze szkodą drugich. Cnota rządności kładzie temu wszystkiemu kres za pomocą roztropnej oszczędności.

Najbardziej jednak odrażającym wrogiem gospodarności jest chyba chciwość oraz skąpstwo względnie sknerstwo. Chciwiec, opętany swą żądzą posiadania, chęć zaspokajania jej posunąć może aż do tego, że nie wzgardzi kradzieżą, rabunkiem, oszustwem, podstępem, wyzyskiem wszelkiego rodzaju. Natomiast człowiek opętany przez skąpstwo czy sknerstwo (zależnie od stanu posiadania) topi wszystkie swoje zainteresowania w pieniądzach lub jego ekwiwalentach i potrafi umrzeć z głodu, byle nie naruszyć swego stanu posiadania. Wszelkie cele społeczne nie mają w sercu jego żadnego oddźwięku. Nie wyda na nie grosza, co jest tym bardziej odrażające, im dana jednostka jest zamożniejsza. Człowiek taki jest zatwardziały na ludzkie cierpienia. Drży wciąż o utratę tego, co posiada, a jeżeli zmuszony jest dać — to daje jak najmniej i w sposób przykry.

Jakże inny jest człowiek ofiarny, a nawet szczodrobliwy! Zna on dobrze wartość posiadanych przez siebie dóbr i dlatego umie je rzucić na szalę otaczających go potrzeb. Daje przy tym tak, by nikogo nie urazić, nikogo nie zawstydzić swą wspaniałomyślnością.

Pożądliwość oczu tkwi tak głęboko w skażonej naturze człowieka, że niełatwo ją wyplenić. Już od dzieciństwa czuwać należy nad zbytnim przywiązywaniem się dziecka do posiadanych rzeczy. Zawczasu też uczyć trzeba rządności we wszelkich jej postaciach, a więc hojności i ofiarności, pracowitości i oszczędności, a przy odpowiednich warunkach i szczodrobliwości (wspaniałomyślności). Trzeba uczyć posiadania dóbr doczesnych i szanowania ich nie dla samego posiadania, ale dla właściwego ich użytkowania. Należy zaprawiać się w ubóstwie duchowym, w gospodarowaniu stanem posiadania dla chwały Bożej i dla dobra bliźnich, w naśladowaniu Boga w jego boskiej hojności i szczodrobliwości. Wówczas i we wieku dojrzałym, gdy powaby ziemi uśmiechną się do człowieka swym bogactwem, człowiek nie utonie w nich całą duszą, ale potrafi je gromadzić nie jak nienasycony chciwiec czy skąpiec (sknera) lub szafować nimi jak lekkomyślny marnotrawca czy rozrzutnik ale władać nimi będzie, jak mu to Bóg w raju zalecił, kierując się roztropną i sprawiedliwą cnotą gospodarności czyli rządności.

Felicja Żurowska.

NASZE WAKACJE

Jeszcze tylko kilka dni i młodzież z miast porozjeżdża się na wszystkie strony, by odpocząć po całorocznej nauce czy może już po roku „pracy". Należy nam się za całoroczny wysiłek, myślą wszyscy, odpoczynek. Czeka nas słońce, powietrze, woda, lasy...

— Halinko, pamiętasz nasze zeszłoroczne wakacje? Warto by wrócić do nich bodaj wspomnieniem, przecież tyle w nich było szczęścia i radości...

— Jak możesz nawet na chwilę pomyśleć, że mogłabym o nich zapomnieć!

— Nie, no, ale widzisz tak mi jakoś dziwnie w przededniu nowych wakacji, bo będą to pierwsze wakacje, których nie będziemy spędzać razem. Ty pojedziesz gdzieś w góry, będziesz miała nowe towarzystwo i... może zapomnisz o mnie... To pytanie postawiłam z pewnym wahaniem i zauważyłam, że Halinka już nie może wytrzymać i przerwała mi wymówką:

— Co ty sobie właściwie wyobrażasz? Czy nasza przyjaźń nie była już wystawiona na poważniejsze jeszcze próby, a jednak wyszła zwycięsko, nawet pogłębiła się, a tu proszę, takie niemądre przypuszczenie!

— Halinko, wiem, że zawsze jestem niepoprawna, ale to przecież pierwsze nasze wakacje, które będziemy spędzać, ty sobie, a ja sobie. Ale nie bądźmy pesymistkami! Poczta istnieje, więc cóż się martwić — ona nas będzie łączyć.

Oto fragment mej rozmowy sprzed kilku dni i wydaje mi się, że wielu musi mieć podobne „zmartwienia wakacyjne". Samo słowo „wakacje" wywołuje radosny uśmiech na twarzy, a cóż dopiero sam fakt korzystania z rozkoszy wakacyjnych. Jakże można je spędzać różnorodnie! Inaczej wyglądają wakacje w górach, inaczej nad morzem, a jeszcze inaczej w murach miasta.

Wszystko jedno gdzie je spędzamy, sam urok wakacji nie zależy tylko od okolicy, zależy również od nas samych. My decydujemy o tem, czy one będą dla nas uroczym i miłym wspomnieniem, czy po prostu wyrzutem sumienia. Trzeba wiedzieć jak je urządzić by były miłe. Moje zeszłoroczne wakacje pozostawiły mi na zawsze prześliczne' wspomnienie. Spędziłam je razem z Halinką w ślicznej górskiej okolicy. Za oknami naszego czyściutkiego pokoiku wielkimi ciemnymi plamami kładły się na górach lasy, zwolna opadały wąziutkimi strugami aż ku chatom rozlewając się w jasne bukiety sadów. Tuż pod oknami rumienił się drobnymi kwiatami ogródek, a zapach ziół w nim uprawianych mieszał się z wonią łąk, którą wiatr od gór zawsze nawiewał. Najbliższym naszym sąsiadem był stary modrzew. Był tak jakoś z nami spoufalony, że zaglądał nam do okna, ożywiał się przy wietrze, w czasie upału stał spokojny, zmęczony, wyglądał tak jakby szukał cienia, wieczorem zaś zdawał się poszumem swych delikatnych gałązek opowiadać jakieś stare klechdy... A my słuchałyśmy i starałyśmy się być bardzo cicho, by nie przerwać wieczornych rozhoworów naszego sąsiada.

Wstawałyśmy zawsze wcześnie rano. Cudem niemal wydawała nam się przyroda w szacie porannej. Cisza, a wietrzyk jak ledwo dostrzegalny oddech matki-ziemi otrząsał krople rosy z kwiatów i liści. Wychodziłyśmy wtedy niespostrzeżone do lasu i jak w tajemniczym królestwie błądziliśmy wśród drzew. W ustroniu była niewielka drewniana kapliczka. Tam często wstępowałyśmy... jakiś kapłan odprawiał zaraz z rána mszę św. Nie było tu jarzących się świec elektrycznych, paliło się zaledwie parę niewielkich świec. Półmrok, jaki nawet w dzień zalegał kościółek stwarzał nastrój modlitewny. Czuło się tutaj, że Bóg nasz Stwórca jest również Bogiem dobrym, Bogiem ludzi małych, prostych, cichych...

Byłyśmy takie szczęśliwe i swobodne wśród otaczającej nas przyrody, że za-

pomniałyśmy o Krakowie. Byłyśmy szczęśliwe, gdyż nie mogłyśmy czegoś więcej pragnąć. Byłyśmy razem.

Na każdym kroku mogłyśmy odczuć tak bardzo bliskość Boga, wszędzie widziałyśmy ślady Jego twórczej mocy, odczuwałyśmy Jego potęgę wszechmocną...

Wieczorem wychodziłyśmy zwykle nad staw okolony szeregiem wierzb płaczących. Długie ich sploty sięgały wody, z zachodem słońca rumieniejącej się, potem bladej, szarej, a wreszcie tak bardzo ciemnej. Z dalekim pogłosem wieczornym wioski dawał się słyszeć niezmordowany chór świerszczy. Łączyłyśmy się z tym chórem i zaczynałyśmy śpiewać...

Potem, gdy zza gór ciekawie na wioskę wyjrzał księżyc, a gwiazdy zaczęły odbijać się w stawie milknęłyśmy i szły po cichu do naszej izdebki, by znów posłuchać gaworzenia modrzewia sprzed okna.

Przyjeżdżali do nas w odwiedziny koledzy i koleżanki. Jedni zazdrościli nam naszego szczęścia, inni dziwili się jak nam się tu nie nudzi. Nie mogli zrozumieć, że nie tęskniłyśmy wcale że milej nam tu było w ciszy niż wśród gwaru ulicznego.

Takie były nasze zeszłoroczne wakacje. A obecne, kto wie jak będą wyglądać, może będą cały czas w Krakowie... Ale to nic, i wtedy urządzę sobie tak wakacje, by miały swój urok. Wspomnienia jednak zeszłorocznych wakacji pozostaną na zawsze w pamięci i wyobraźni.

Po spokój, wiem gdzie skierować kroki. Będzie to jakiś malutki kościółek za miastem, gdzie znajdę swe szczęście — samego P. Jezusa. Będę mogła jeździć na wycieczki za miasto, bo przecież tak niedaleko jest do lasku, który choć w części zastąpi mi tamte wielkie, ciemne, chuczące lasy. A może i ja wyjadę znów w góry i zobaczę swych dawnych znajomych: modrzewia-bajarza, staw z wierzbami płaczkami, i ten miły kościółek... Zobaczymy.. Ir.

PANI JADWIGA

ZABAWA W TATĘ I MAMĘ

Ku wielkiemu zdziwieniu zobaczyła pani Jadwiga w pewien letni poranek na plantach, jak w cieniu drzew, bił się Stefek z Hanią, dzieci młodej jej przyjaciółki Feli. W ferworze walki nie zauważyły zainteresowane walką strony przeciwne, nadchodzącą pomoc — o dziwo — dla obu stron w postaci jednej osoby.

— Dzieci, co to robicie?

— Ha, ha — zaśmiał się Stefek, co mu nie przeszkadzało spuścić pięść na głowę siostry.

— Bawimy się proszę pani! — mniej wesoło odpowiedziała Hania, równocześnie kopiąc prawą nogą lewą kostkę brata.

— Dajcie już spokój tej dziwnej zabawie. Co to za nowa zabawa?

— Bawimy się w tatę i mamę.

Tym razem roześmiała się serdecznie pani Jadwiga. Zmęczeni i zdyszani uczestnicy zabawy wzięli się za ręce, jakby nigdy nic.

— Gdzie jest mama?

— Za tym kasztanem siedzi i pilnuje Tereni.

Za chwilę pani Jadwiga witała się z Felą. Pochyliła się nad wózeczkiem, w którym spokojnie spała dziecina.

— Jaka śliczna twoja córeczka. Ale ty Felo, jesteś jakaś smutna.

— Oj tak. — Odpowiedzi towarzyszyło głębokie westchnienie.

— Kłóciłaś się wczoraj z mężem?

Zdziwienie odbiło się na twarzy Feli.

— A może biliście się?

— Skąd pani o tym wie? — z najwyższym zdumieniem zakrzyknęła Fela. — Jak to ludzie potrafią wszystko podpatrzyć.

— Podpatrzyć? Ależ to twoje dzieci zdradziły tajemnicę.

— Powiedziały pani?

— Bezpośrednio — nie, a pośrednio — tak.

— Właśnie przed chwilą bawiły się w tatę i mamę.

— Na czym ta zabawa polegała?

— Właśnie, o to chodzi. Biły się nawzajem ile wlazło, a zapytane, co robią, odpowiedziały, że bawią się w tatę i mamę. Innymi słowy zdradziły tajemnicę domową. L'enfants terribles.

— W rzeczywistości tak było — ze smutkiem w głosie odezwała się Fela.

Mąż przyszedł wczoraj nietrzeźwy do domu. Dość mi tego wszystkiego było. Cały dzień człowiek się napracuje koło dzieci, gospodarstwa, czeka na męża z utęsknieniem, aby usłyszeć od niego jakie dobre słowo, pomówić, naradzić się, a tu — masz. Od słowa do słowa, przyszło do...

— I dzieci to widziały?

— Niestety tak było, wprost o nich zapomniałam w swym bólu i rozżaleniu.

— Widzisz, droga Felo, pobłądziłaś. Pomijam tę zasadniczą prawdę, że przez kłótnie, przekleństwa i bicie, męża nie przekonasz. Mężczyznę zdobywa się autorytetem, opanowaniem, stanowczością opromienioną miłością. — Ale po co ta cała awantura przy dzieciach? W ten sposób w ich świadomość siejesz fałszywy obraz małżeństwa, współżycia, rozwiązywania problemów spornych między człowiekiem, a człowiekiem.

W tej chwili mała Terenia zapłakała. Fela wyjęła poduszkę z dzieckiem z wózeczka, wzięła na ręce i zaczęła córkę kołysać.

— Moje maleństwo — a, a, a, — już nie płacz śliczności moja... pociecho... skarbie...

Dziecko przestało płakać. Czyste swe oczy utkwiło w twarzy matki.

— Popatrz Felo — odezwała się pani Jadwiga, która z uwagą obserwowała tę scenę — popatrz na usta dziecka, co ono robi i nie przerywaj mówić do niego.

W rzeczywistości dziecko, które miało oczy utkwione w usta matki, zaczęło otwierać buzię, naśladując matkę w układzie warg.

— Naśladuje mnie! — zawołała ucieszona Fela. — Że ja tego nigdy poprzednio nie zauważyłam.

— Tak, tak, Felo! Dziecko niemal od urodzenia naśladuje rodziców, a oni o tym często nie wiedzą. A szkoda! Musimy sobie uświadomić ten fakt i odpowiedzialność, którą on za sobą pociąga. Musimy się starać, aby imię ojca i matki były dla dziecka synonimem ładu, opanowania, wzajemnej miłości, a nie — bicia, kłótni, niezgody i nienawiści.

Bożena Mirska.

WŁAŚCIWE UŻYWANIE WYOBRAŹNI

Jednym z cennych darów Boga jest wyobraźnia. Pochodzą z niej największe dzieła sztuki. Kompozytor ma obraz symfonii lub sonaty, zanim go napisze lub usłyszy w wykonaniu. Wspaniała katedra była najpierw w wyobraźni architekta, zanim wykonał plany, które zmaterializował w piękny gmach podziwiany przez następne pokolenia. Piękny obraz jest barwnym wyrazem wyobraźni i uczucia artysty. Wszystkie wielkie dzieła sztuki i wielkie osiągnięcia wyszły z wyobraźni zamienionej w działanie. Wyobraźnia połączona z wolą wykonania wywiera wielki wpływ na złe i dobre. Przed potopem, gdy ziemia była napełniona gwałtem, „Bóg widział, że na ziemi była wielka złość ludzka i że każda wyobraźnia myśli jego serca była zła“ (Rodz. VI, 5).

Istnieje jeszcze jedna postać działania wyobraźni w naszym życiu: marzenie. Gra ono dużą rolę w życiu dzieci i jest często tak żywe, że dzieci z trudem odróżniają rzeczy wyobrażone od rzeczywistych. Tłumaczy to zmyślone opowiadania dziecięce, tak przez nie opowiadane, jakby były rzeczywistością. Dorośli bez wyobraźni oskarżają nieraz takie dzieci o kłamstwo i niepokoją się zjawiskiem, które jest naturalnym etapem w rozwoju dziecka. Przedstawiono mi raz ośmioletnią dziewczynkę jako niepoprawnego kłamczucha. Okazało się, że owe kłamstwa to fantastyczne opowiadania o tym, co dziecko widziało w drodze ze szkoły. Raz dziewczynka miała widzieć menażerię, złożoną z kilku słoni i lwów. Okazało się później, że dziecko miało dużą inteligencję i wyobraźnię z silnym instynktem do samochwalstwa; opowiadało te historie, aby ściągnąć na siebie uwagę (w domu było jeszcze dwoje młodszych dzieci) i zrobić wrażenie na matce.

Fantazjowanie odżywa w okresie młodzieńczym, a czasem pozostaje aż do dojrzałości. Dziewczynka marzy o przyszłym domu, chłopiec o sławie sportowej, o wielkich przygodach, w których jest bohaterem. Później zjawiają się wyobrażenia seksualne, powodujące często poczucie winy.

Na ogół można powiedzieć, że fantazje każdego wieku są wywołane dwoma czynnikami; jeden z nich to myśl — życzenie, uruchomiona przez siły instynktowne, drugi to udaremnienia lub zahamowania przeszkadzające bezpośredniemu spełnieniu życzeń. Chłopiec byłby zaraz bohaterem, lecz okoliczności mu przeszkadzają, zaczyna więc fantazjować. Głównym motywem w fantazjowaniu jest siła instynktu samozatwierdzającego i seksualnego.

Fantazjowanie jest ubocznym produktem umysłu i zużywa pewną ilość jego energii. Jeśli się takiemu fantazjowaniu folguje, odrywa ono człowieka od rzeczywistości i jest przeszkodą w życiu praktycznym.

Może również budzić niezdrowe podniecenia i jeśli pozwala mu się płynąć w złym kierunku, powoduje winę. Wina jest zawsze uczuciem szkodliwym i rozszczepiającym. Świadome folgowanie wyobrażeniom złym powoduje liczne konflikty. Wyobraźnia może być szkodliwa i w inny sposób. Niektórzy chowają się w krainie snów i marzeń, aby uchylić się od wykonania prostych zadań leżących w ich mocy. Tam, gdzie powinna być ich pracowita dłoń, jest tylko fantazja. Widzą się na stanowisku wpływowym lub wyobrażają sobie wszelkie dobro, które by zrobili, gdyby byli innymi. Żyją w krainie „gdyby". Pełni są dobrych chęci, rzadko urzeczywistnionych. Poza marnowaniem czasu i energii, marzenia takie prowadzą do niezadowolenia. Kto myśli o tym tylko, co mógłby zrobić, jest niezadowolony ze swych obowiązków codziennych.

Wyobraźnia jest matką ambicji. Tu znów odróżnić trzeba ambicję przekraczającą możliwości i tę chwalebną ambicję, która liczy się z rzeczywistością i popycha człowieka do szlachetnych osiągnięć.

Jaką rolę powinna odgrywać wyobraźnia w naszym życiu? Nie wolno jej usuwać jako bezużytecznego ciężaru. Byłoby to zubożenie i zaprzeczenie jednego z cennych darów bożych. Fantazję i ambicję trzeba poddać Chrystusowi. A więc nie wolno galerii wyobraźni obwieszać obrazami, których wstydzilibyśmy się pokazać Chrystusowi, jeżeli zawieszają się same, trzeba je przy pomocy modlitwy zastąpić innymi. Nie można przeszkodzić ich wtargnięciu, ale nie można ich też tolerować. Należy zastępować je od razu innymi wyobrażeniami i prosić Chrystusa o zwycięstwo. Bo złe wyobrażenia zamieniają się w złe cele i prowadzą do złego postępowania. Liczne występki pochodzą ze złych wyobrażeń, którym się przez dłuższy czas folguje. Nie powinno się też puszczać luzem wyobrażeń, choćby się wydawały niewinne, z uwagi na samą przyjemność, jaką przynoszą. Niektórzy często budują zamki na lodzie. Zużywa to energię, która powinna być skierowana ku czemuś pożyteczniejszemu. Wyobraźnia i ambicja powinny iść w parze z wolą działania. Wyobraźnia powinna być użyta dla celów realnych i pożytecznych. Należycie wychowana wyobraźnia związana ze zdolnością wykonawczą i z wolą jest potęgą pomocną ku dobremu.

W dwóch kierunkach wyobraźnia pokazuje się cenną: we współczuciu i w wierze. Można powiedzieć, że brak współczucia u niektórych ludzi pochodzi z braku wyobraźni lub niechęci jej użycia. Wyobraźnia jest bardzo pomocną w przeżyciu wiary. Wyobrażanie sobie Chrystusa żyjącego, działającego i cierpiącego, stanowi realną pomoc dla wiary i miłości. Wielką pomocą w uczestniczeniu w liturgii jest np. żywe wyobrażenie sobie Chrystusa na Ostatniej Wieczerzy.

W znanym miejscu Izajasza: „Będziesz trzymał w doskonałym pokoju tego, którego umysł jest utkwiony w Tobie", „umysł" oznacza także

wyobraźnię, wyobraźnię skupiającą się na Bogu. Przy takim skupieniu znikają złe wyobrażenia, a królem w królestwie naszych myśli staje się Chrystus. Jest ćwiczeniem bardzo zdrowym spędzać kilka minut na skupieniu myśli na Bogu i rozważaniu tego, kim On jest dla nas. Zamykając stopniowo oczy i uszy na obrazy i dźwięki otoczenia, można skupić myśli na Bogu, Jego miłości, świętości, sprawiedliwości tak, aby na krótki czas wypełnił On całe pole naszej świadomości.

Ks. Dr Marian Rzeszewski.

WIARA

Życie przedstawia się jako akcja w przeciwieństwie do intencji. W tym znaczeniu mówi się też o życiu duchownym. Bóg żyje przez akty, które nie są czym innym jak Nim samym — akty poznania i miłości. Nasze życie wewnętrzne jest udziałem, partycypacją w życiu Bożym — mówi o tym Pismo święte. Moc udzielania nam życia Bożego ma wiara, ona daje nam życie Boże.

Chrystus mówi: „A to jest życie wieczne, abyście poznali Boga i Chrystusa, który go posłał" nie wskazuje tu Chrystus na poznanie zewnętrzne, rozumem lub zmysłami. Przez poznanie rozumie Bóg tę znajomość, z którą miłość się łączy — serce i wola obejmuje poznanie. Znać Boga i Chrystusa to miłować Go. — O owieczkach swych mówi Jezus, że znają Go tak, jak On zna Ojca swego. Czy podobna, aby między nami a Chrystusem była taka zażyłość jak między Synem a Ojcem? Tak, bo ziemia i niebo przeminą, a słowa Boże nie przeminą. To jest dzieło Boże, byście uwierzyli temu, Którego Bóg posłał". Z wiary więc wyrasta życie wewnętrzne jak z korzenia.

Ks. A. B.

TREŚĆ NUMERU

„POD OPIEKĄ Św. JÓZEFA“

Miesięcznik dla Rodzin Katolickich

Redaguje Kolegium
Adres Redakcji:
Redakcja „Pod Opieką św. Józefa“
Kraków
ul. Rakowicka 18

Konto:
Wydawnictwo Karmelitów Bosych
Kraków
PKO. Kraków Nr IV—842/113

Adres dla spraw prenumeraty:
Państwowe Przedsiębiorstwo Kolportażu
„Ruch“ Oddział w Krakowie
ul. Worcella 6
Konto: Państwowe Przedsiębiorstwo
Kolportażu „Ruch“ Kraków
Dział Prenumeraty Pocztowej
Wydawnictwa Religijne i Naukowe
„Pod Opieką św. Józefa“
PKO. Kraków Nr IV — 1639.

Cena pojedynczego numeru 1.50 zł

M-3-10760 - Pap. druk. sat. VII kl. A1/60 g - Zam. 146 - 20. II. 52 - Nakł. 8.000
Krakowskie Zakłady Graficzne, Zakład Nr 7 — Kraków.